

M A G A Z Y N

# KONTRA

NR 1 / 2021 [1]

W OBRONIE ŻIŁŁA.  
Z MIŁOŚCI DO ŚWIATA



ISSN: XXXXXXXX

BORKOWICZ · KUŻ · KWAŚNIEWSKI · MACIEJEWSKI · MELONOWSKA · PAWŁOWSKA · ROWIŃSKI · STANISŁAWSKI · WARZECHA · ZYCH

# NASZĄ ODPOWIEDZIĄ

# MUSI BYĆ KONTRA



JERZY KWAŚNIEWSKI

Instytut Ordo Iuris przeszedł długą drogę. Rozpoczynaliśmy od obrony dzieci zabieranych rodzicom, ze sprawą prof. Bogdana Chazana otworzyliśmy front w obronie lekarskiej klauzuli sumienia, z drukarzem z Łodzi wydaliśmy bitwę o wolność gospodarczą, zaś sprzedawca z IKEI stał się symbolem nowoczesnych prześladowań chrześcijan. Gdy dodać do tego analizy i raporty poświęcone cywilizacyjnym zagrożeniom i prawom podstawowym, kreujące dla milczącej konserwatywnej większości *content* i formę obrony życia, wolności, rodziny i małżeństwa, obraz toczonych przez nas zmagani zaczyna nabierać potężnych kształtów.

Reakcją na rosnącą obecność i skuteczność Ordo Iuris była pełna ekspresji - uliczna, medialna i polityczna – nienawiść ze strony radykalnych ideologów lewicy. Jednak jeszcze szybciej rosły szeregi sojuszników. Wokół samego Instytutu tysiące Darczyńców włączało się w obronę normalności. Ale w poczet sprzymierzeńców mogliśmy szybko zaliczyć także zasłużone organizacje społeczne, aktywne już w czasach obywatelskiej „zimy” lat 90. III RP, chrześcijańskie wspólnoty, związki zawodowe, a wreszcie nowe stowarzyszenia i fundacje, którymi zaowocowała Polska scena publiczna po tragicznym roku 2010, a które przywracały należne miejsce takim pojęciom jak Ojczyzna, wiara, patriotyzm, rodzina.

W tym czasie eksperci Ordo Iuris dali już się poznać jako objectorzy na komisjach i w komitetach organów Unii Europejskiej, ONZ i Rady Europy. Podczas

zamknięcia swoiście zwycięskiego dla nas szczytu ONZ w Nairobi usłyszeliśmy, że jeszcze kiedyś „wsteczniczy zostaną odepchnięci”. Dostrzegając konserwatywną falę, podczas „Generation Equality Forum” Sekretarz Generalny ONZ stwierdził wprost, że trwa „ideologiczna bitwa i my musimy pokonać w niej siły konserwatywne na całym świecie”. Wtórował mu Prezydent Meksyku, wzywający do stosowania w tej walce metod francuskiej rewolucji.

## „Magazyn Kontra” będzie miejscem, gdzie największe wojny idei i potężne fale destrukcji naturalnego ładu spotkają się z pełnym entuzjazmem sprzeciwem.

Jednak od czasu tych pogroźek mijają lata i miesiące, a my przemy naprzód i wyciągamy rękę do budowy szerokiego sojuszu i nowych elit Międzymorza, powołując do życia uczelnię i akademickie środowisko Collegium Intermarium. W świecie tymczasowych mód i prostych recept, wskrzeszając wymagającą tożsamość cywilizacji europejskiej, wyrastającą z grackiej filozofii, rzymskiego prawa i chrześcijańskiej etyki.

Ucząc się na porażkach i świętując zwycięstwa nauczyliśmy się łączyć entuzjazm z profesjonalizmem i racjonalnym realizmem w podejmowaniu nowych projektów. Nie tylko w Polsce, ale w całym Międzymorzu i na całym kontynencie wyraźne jest oczekiwanie na wielką, ale realistyczną wizję odbudowy świata

wartości, na wyzwolenie od gwałtownych ideologii i neomarksistowskiego bełkotu. Przed nami szansa, by porzucić utopijne mrzonki o inżynierii społecznego postępu i skupić się na postępie w inżynierii, zanurzonym w odpowiedzialności za społeczeństwo. Dość straciliśmy już czasu na wynajdowanie kolejnych płci, zamiast badać kolejne planety.

Dotąd jednak brak było kanału komunikacji, który pozwoliłby na wciągnięcie w przygodę odnowy, reakcji i wyzwolenia, najaktywniejszych i najbardziej płodnych polskich intelektualistów.

I – oto stało się! Dzisiaj kreślę te słowa wierząc, że właśnie „Magazyn Kontra” będzie miejscem, gdzie największe wojny idei i potężne fale destrukcji naturalnego ładu spotkają się z pełnym entuzjazmem sprzeciwem. Że pismo i portal, które właśnie powołujemy do życia staną się bijącym źródłem odnowy, sięgającym dalece szerzej niż środowiska już dzisiaj nam bliskie.

W chwili, gdy impet destrukcji życia społecznego sięga zenitu, niszczycielskie prądy podważają elementarne zasady ochrony życia, wolności i małżeństwa, a nawet kwestionują naturalne kategorie własności, płci i rodziny, naszą odpowiedzią musi być Kontra. Podczas, gdy rolę prawników *Ordo Iuris* jest toczyć walkę na salach sądowych, w parlamentach i gabinetach, mozolna praca na rzecz przywrócenia ładu, w którym prawość ponownie weźmie górę nad utopiami cywilizacyjnych łupieżców, potrzebuje szerokiej, interdyscyplinarnej ofensywy, prowadzonej rozumnie i z wiarą w powodzenie Kontry.

Ruszamy śmiało, bo - w duchu newtonowskiej trawestacji Lukana – widzimy dalej, stojąc na ramionach olbrzymów.

NR 1 / 2021 [1]

### REDAKCJA:

Jacek Borkowicz  
Jan Maciejewski

### PROJEKT GRAFICZNY I SKŁAD:

Ursines – agencja kreatywna. Błażej Zych  
[www.ursines.pl](http://www.ursines.pl)  
Bartłomiej Mortas  
Adam Rudzki  
Tomasz Gorczyca

### KOREKTA:

Bartosz Woźniak

*Wszystkie artykuły udostępniamy na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa 4.0 Międzynarodowe. W przypadku przedruku czy innego wykorzystania prosimy o podanie linki do naszej strony jako do źródła.*

### AUTORZY NUMERU:

Amélie Desrumeaux  
Zofia François  
Michał Kuź  
Jerzy Kwaśniewski  
Justyna Melonowska  
Karolina Pawłowska  
Tomasz Rowiński  
Wojciech Stanisławski  
Łukasz Warzecha  
Tymoteusz Zych

### WYDAWCY:

Fundacja Edukacja do Wartości  
Fundacja na rzecz Rzetelnej Debaty Publicznej

### KONTAKT:

[kontakt@magazynkontra.pl](mailto:kontakt@magazynkontra.pl)  
Stefana Jaracza 10/1, 00-378 Warszawa  
[www.magazynkontra.pl](http://www.magazynkontra.pl)



8



46



34

## 5 / OD REDAKCJI

5 **Przeżyjmy przygodę porządku**

## 6 / W OBRONIE CIAŁA

8 **W obronie ciała, z miłości do świata**  
Jan Maciejewski12 **Chcicie walczyć z przemocą wobec kobiet? Brońcie rodziny**  
Karolina Pawłowska18 **Wojna z płcią w późnej nowoczesności**  
Michał Kuź22 **Nieużyteczni obrońcy rozsądku**  
Jacek Borkowicz27 **Dziecięca choroba oświeconych. Jak urabiana jest przeszłość**  
Wojciech Stanisławski

## 32 / W OBRONIE KOBIETY

34 **Aborcja. Moje piekło**  
Amélie Desrumeaux39 **Los Kobiety. Pozostać w ciele, wejść w dramat**  
Justyna Melonowska

## 44 / W OBRONIE WSPÓLNOTY

46 **Pandemiczny Lewiatan**  
Tymoteusz Zych50 **Ucieczka od wolności przyspiesza przed metą**  
Łukasz Warzecha56 **Polityczny analfabetyzm w epoce Covid-19**  
Tomasz Rowiński

## 60 / POST SCRIPTUM

62 **Nigdy nie będziesz szedł sam**  
Jan Maciejewski

## OD REDAKCJI

PRZEŻYJMY PRZYGODĘ  
PORZĄDKU

Wszyscy widzimy, że świat pogrąży się w chaosie. Wydaje nam się, że to koniec, ale tak nie jest. Wszystko, co się wokół nas dzieje, jest zapowiedzią nowego początku. Tyle że wśród codziennego jazgotu i w dudnieniu propagandy trudno ją usłyszeć. Rewolucja, w każdej ze swoich postaci, wydaje się być – jak jeszcze nigdy dotąd – bliska ostatecznego zwycięstwa.

Tymczasem odpowiedzią konserwatystów coraz częściej staje się wywieszenie białej flagi. Oddawanie walkowerem polityki, prawa, kultury. Prośba o azyl we własnym domu. Defetyzm podszyty rozpaczą i przekonaniem, że historia będzie się już toczyć tylko w jednym kierunku, a myniemy wpływu nawet na tempo jej biegu.

Odpowiedzią, jakiej chcemy udzielić zarówno pewnym sobie rewolucjonistom, jak i pogrążonym w rozpacz konserwatystom, jest „Kontra”. Wierzymy, że każda utopia (a świat za oknem w taki właśnie obraz zaczyna nam się układać) musi runąć. I w rzeczywistości jest tym bliższa upadku, im mniej wydaje się dzielić ją od realizacji swoich założeń. Dlatego rewolucja jest skazana na porażkę, zaś porządek – na zwycięstwo. To pierwsze bluźnierstwo – prawda, w którą nie chce uwierzyć świat, jaką wypowiemy.

Drugie bluźnierstwo brzmi: tylko porządek jest przygodą. Rewolucja, z jej chaosem, jest nudna jak ekran telewizora, który zgubił sygnał. Jesteśmy wierni przesłaniu wielkich awanturników porządku, od klasycznych myślicieli, przez Szekspira, aż po Tolkiena. Tym wszystkim, którzy pośród chaosu swojej epoki łapali sygnał rzeczywistości. Wbrew wszelkiej maści nihilistom wierzymy bowiem, że nie jest ona plasteliną w dłoniach demiurga; abstrakcyjną konstrukcją, którą można dowolnie zmieniać i przebudowywać. Przeciwnie, rzeczywistość jest obiektywnie istniejącym

porządkiem, którego odczytywanie jest najwspanialszą przygodą, jaka została zaproponowana człowiekowi. Świat można zrozumieć tylko jako całość. Polityki nie można oderwać od religii, ekonomii od muzyki, życia społecznego od sztuki. Magazyn Kontra podejmuje to wyzwanie do zrozumienia całości. Na nasze łamy zapraszamy autorów potrafiących odszyfrowywać chaos, w jakim żyjemy. Specjalistów, którzy nie zamykają się w swoich dziedzinach, przekraczają środowiskowe uwikłania i granice wąsko pojętego profesjonalizmu. Którzy dostrzegają wyłaniające się spoza newsów i medialnych emocji kontury ładu – zmieniającego oblicze, ale stałego zarazem.

Szkoda nam czasu na przekonywanie przekonanych, ale też nie zamierzamy naginać języka do doraźnych „wymogów” politycznego konsensu czy też nowych obyczajów. Zdając sobie sprawę, że u źródeł każdego ludzkiego błędu leżą dobre chęci, kierujemy się zasadą *sed contra*, sformułowaną przez Tomasza z Akwinu: znajdź u polemisty to, co słuszne, następnie zaś popraw to, w czym błędzi.

Nasza „Kontra” będzie katolicka. Ale nie tylko w tym sensie, w jakim wierzymy, że kategorie grzechu i łaski, potępienia i zbawienia pomagają właściwie zrozumieć otaczającą nas rzeczywistość. „Katolicki” znaczy przecież przede wszystkim „powszechny”. Obejmujący całość, a przynajmniej roszczący sobie do niej pretensje. Przenikający różne dziedziny, wypełniający wszystkie obszary naszego życia.

Proponujemy Państwu wspólną walkę o pełną pulę, o Całość. Zapraszamy do przeżycia z nami przygody porządku. Walki, która jest skazana na zwycięstwo. Tylko od naszej determinacji i zaangażowania zależy, jak szybko do niego dojdzie. Pora wyjść z defensywy. Czas na kontrę.

# W OBRONIE CIAŁA





# W OBRONIE CIAŁA. Z MIŁOŚCI DO ŚWIATA

JAN MACIEJEWSKI

**Jedynym, co nie tylko przeciwstawia się ideologiom,  
ale też zwalcza samobójcze odruchy, jest wiedza  
o tym, że Słowo stało się Ciałem.**

Jedyny mesjasz, na jakiego nas stać, ma twarz Kevina Spacey i obcięte opuszki wszystkich palców na obu dłoniach. Jego misja miała nie zostawić żadnego śladu. Ani jednego odcisku, który mógłby ją przerwać i sprawić, że dzieło nie zostanie ukończone. Jego nauczanie trwa siedem dni. W tym czasie wytknie społeczeństwu siedem grzechów głównych. Siedem będzie również ofiar jego nauczania.

Film „Siedem” Davida Finchera, sprzed przeszło ćwierć wieku, opowiada historię dwóch policjantów (Morgan Freeman i Brad Pitt) podążających śladem psychopatycznego mordercy. Schemat jego działania okazuje się makabryczną parodią dziejów stworzenia — dzień po dniu, od poniedziałku do niedzieli, wybiera on po jednej ofierze. Każda wybrana jest jako reprezentacja jednego z grzechów głównych. Ich cierpienie musi być spektakularne i budzące odrazę, a ciało przerażająco okaleczone; w sposób, który napiętnować ma kolejno łakomstwo, lenistwo, chciwość, pychę, nieczystość, zazdrość i na końcu gniew. Ale mesjasz (Spacey) nie przynosi światu odkupienia, tylko oświecenie. Co najważniejsze, tę wiedzę podziela jeden ze śledczych, mający właśnie przejść na emeryturę (Freeman). Tacy właśnie jesteśmy, tacy są ludzie i świat. Rozpacz jest najgłębszą wiedzą.

W jednej ze scen, kiedy żona jego kolegi z pracy zwierza mu się, że jest w ciąży, on opowiada jej historię swojego nienarodzonego dziecka. Namówił jego matkę do aborcji, choć w głębi serca pragnął, by urodziła. Czuł jednak — wyznaje — że nie miał prawa sprowadzić nowego człowieka na ten świat. Zabicie go w łonie matki

było wyborem mniejszego zła. Większym byłoby życie. „Z każdym dniem przekonuję się, że dobrze zrobiłem. Choć nie ma takiego, kiedy bym nie żałował”. Wszystko co widzimy na ekranie, a zwłaszcza rozwiązanie kluczowej dla filmu intrygi, ma nas utwierdzić w przekonaniu, że podjął właściwą decyzję.

„Siedem” Davida Finchera można odczytać jako bardzo konsekwentny wykład starożytnej gnozy. Wiary w to, że świat został stworzony nie przez dobrego Boga, ale okrutnego demiurga. I stąd jest on jako taki miejscem ze swej natury złym; więzieniem, do którego zostajemy wtrąceni z chwilą narodzin. A jeśli wszechświat jest więzieniem, to ciało — karcerem. Klatką, w której tkwi jedyny przebłysk światła i nadziei — nasze prawdziwe „ja”, boska iskra. Stłamszona przez ciało, skrzywdzona przez świat, w którym podstępnie ją uwięziono. Oświecenie jest jednocześnie wyzwoleniem, na drodze buntu wobec świata i ciała. To ostatnie jest tak czy inaczej wrogiem. Należy poddać je kastracji lub orgii — w te lub wewte, ukarać. Jeśli stanęło na tym drugim, należy jedynie uważać, by przypadkiem nie doszło do powstania nowego życia. Zapłodnienie jest bowiem najgorszą ze zbrodni. Spędzenie płodu natomiast — aktem miłosierdzia. Czymś, czego nie wystarczy pochwalić, lecz trzeba wręcz godnie uczcić.

To obraz wahadła płynnie wykonującego swe ruchy, przesuwającego się błyskawicznie od seksualnego wyzwolenia do purytańskiego szału. Ciało — to pułapka, w którą schwytano moje prawdziwe „ja”. Seksualność — nie tyle poszukiwanie drogi do złączenia się z tym drugim, co wyzwolenie ze mnie samego.





© Hans Memling, commons.wikimedia.org

Już nie moje „tak” dla innego ciała, ale „nie” wobec mojego własnego. I wreszcie, aborcja jako uczynek miłosierdzia. Coraz częściej już nie tylko wobec kobiety, co — zwłaszcza w jej eugenicznej odmianie — dziecka. Narodziny zostały utożsamione z początkiem cierpienia. Zabójstwo dziecka w łonie matki — z okazaniem aktu łaski. Za ruchami LGBT i aborcyjnym stoi to samo przecucie, podobna intuicja; odruch, który jest wcześniejszy od każdej ideologii. Gnostycka recydywa, gdzie ciało to klatka, a świat — kolonia karna. To dlatego oba te ruchy są uznawane za awangardę postępu. Bo jeżeli jakaś idea i idący za nią wielki projekt napędzają dzisiaj postęp technologiczny, to jest nią, między innymi, właśnie gnoza. Marzenie o nieśmiertelności przez wyzwolenie się z biologii, przesiadkę z ciał na cyfrowe nośniki. Nami samymi nie może być przecież to nieznośne, wadliwe nosidło ducha. Wyzwolimy boską iskrę funkcją kopiuju / wklej. Zapiszemy naszą prawdziwą treść, nasze człowieczeństwo na twarde dyski, nośniku wieczności. Posthumanizm pod jedno ramię bierze aborcję, pod drugie — teorię gender. I w trójkę ruszają na spotkanie przyszłości. Po trupach, po ciałach.

Jeżeli na to kosmiczne gnojowisko może zstąpić jakiś anty-mesjasz, to będzie on postacią złego demiurga, kimś takim jak Doe (Kevin Spacey) w filmie „Siedem”. Głosicielem ewangelii bólu i ciemności. Niebezpiecznym psychopatą.

Jedynym, co nie tylko przeciwstawia się ideologiom, ale też koryguje błędne intuicje i zwalcza samobójcze odruchy, jest wiedza o tym, że Słowo stało się Ciałem.

## Nie dotykaj mnie

Wszystko zaczęło się komplikować, kiedy człowiek zaczął ugrzeczniać wielkie szaleństwo Boga. To przeciwko niemu zaprotestowała reformacja, dużo bardziej niż przeciw grzechom Kościoła. One były tylko ujściem, kroplą gorzkości, która przelała kielich z nieskończonym boskim miłosierdziem. Ludzkie łapska zaczęły być tak brudne, że myśl o tym, iż faktycznie dotykają Ciała Chrystusa, stała się nie do zniesienia. I okazało się, że łatwiej i bezpieczniej jest z tego drugiego zrobić metaforę, niż umyć te pierwsze. Luter, Kalwin, Zwingli mogli mówić idącym za nimi ludziom różne rzeczy, spierać się między sobą na śmierć i życie. Ale Panu Bogu powiedzieli to samo: za daleko się posunąłeś, za blisko nas podszedłeś. To niemożliwe, żebyś chciał nągminnie dotykać swoim ciałem naszych języków, wkraść swoim blaskiem i chwałą do naszych przewodów pokarmowych. Nie odchodź od nas, po prostu odsuń się krok lub dwa. Niech widzą Cię nasze oczy, niech dosięga myśl. Ale nigdy więcej nas już nie dotykaj.

Dlatego reformacja jednocześnie znosiła celibat i rozpętywała purytańską krucjatę przeciwko zmysłom. To właśnie robi dusza, kiedy wygna się ją ze świątyni ciała. Nigdy więcej nie złoży w niej już ofiary swemu Bogu, nie musi utrzymywać jej w mistycznej czystości, dla bezpieczeństwa — nawet nie powinna. Niech wpuści do niej świat, wykorzysta w jakichś bardziej praktycznych celach. Jednak od początku był to dużo bardziej odruch rezygnacji, niż radosnej ulgi. Czemuś, co nie może być święte, nie można ufać. Skoro ciało



© Władysław Podkowiński, commons.wikimedia.org

nie może nas już porwać w górę, niechybnie będzie chciało pociągnąć nas w dół, ku przepaści potępienia. Zakryjmy je więc, na wszelki wypadek, odpowiednio wysokim dekoltem.

Dla dwudziestowiecznej rewolucji seksualnej reformacja była dokładnie tym samym, co dzięki kapitalizm dla komunizmu w oczach Karola Marksa. Koniecznym etapem pośrednim. Nieodczoną orką na wcześniej istniejącym porządku. Wyzwoleniem sił, które swojego spełnienia będą szukać w ostatecznej rewolucji. Nie byłoby hippisów, gdyby wcześniej nie pojawili się purytanie, nie byłoby pigułki antykoncepcyjnej bez gorsetu. Z kolei dzisiejszej nowej, seksualnej etykiety (czy może raczej księgowości) i pomysłów nakazujących przed zbliżeniem seksualnym uzyskiwać każdorazowo zgodę (póki co bez dopowiedzenia, że musi być ona notarialnie potwierdzona), nie byłoby, gdyby nie Lato Miłości, a więc idea seksu pojęta jako coś w rodzaju towarzyskiej uprzejmości. Najpierw ciało przestało być Słowem, potem stało się bełkotem. By na końcu przybrać formę umowy cywilno-prawnej.

To tu, w ciele, rodzi się lub gaśnie nadzieja. O wiele wcześniej, zanim nazwiemy coś prawicowym lub lewicowym, postawimy tabliczkę ogłaszającą przynależność do cywilizacji życia albo śmierci. Na początku był dotyk. I decyzja — zostać czy pójść dalej? A może w ogóle uciec z krzykiem?

Co zrobić z wizją Wszechmocnego stojącego się embrionem, a następnie płodem, w łonie młodej Żydówki? Przychodzącego na świat zupełnie naturalnie,

tą samą drogą co każdy z nas, a następnie aż nazbyt dosłownie umierającego, po trwającej wiele godzin męce. I całkiem niemetaforycznie oferującego ci codzienne zjedanie fragmentów swojego ciała, zresztą dokładnie tego samego. Co po czymś takim masz myśleć o swoim własnym ciele? I co o tym drugim, które kochasz? Spróbujmy zacząć pytać o właściwe rzeczy: czy usta, które otwierają się na spotkanie z ciałem Chrystusa, mogą całować tak samo jak te, które nigdy świadomie tego nie zrobiły? To tu wszystko się rozstrzyga — miałość teorii gender czy tragedia aborcyjnej praktyki stanowią tylko konsekwencje. Fragmenty tego samego proceduru, do którego przykładamy się własną obojętnością i chłodem. To nie jest wojna abstrakcyjnych idei, lecz jak najbardziej namacalnych ciał. Czy którekolwiek z naszych ciał może być w takim razie zwolnione z udziału w niej? A niby na jakich zasadach?

**To tu, w ciele, rodzi się lub gaśnie nadzieja. O wiele wcześniej, zanim nazwiemy coś prawicowym lub lewicowym, postawimy tabliczkę ogłaszającą przynależność do cywilizacji życia albo śmierci. Na początku był dotyk.**

## Rozkosz, która nie mija

Największym błędem, jaki można w tym miejscu popełnić, jest przekonanie, że wystarczy po prostu pewnych rzeczy nie robić. Tak jakby Chrystus wzorem miłości uczynił jakąś perfekcyjnie powściągliwą panią domu, a nie prostytutkę, która wytarła Mu stopy rozpuszczonymi włosami. Nie wyróżnił jej dlatego, że umiłowała go stosownie, tylko dlatego, że bardziej. W przeciwieństwie do Lutra et consortes, Bóg chce dotykać i być dotykany. Do końca. Wymaga od naszych ciał dokładnie tej samej konsekwencji, z jaką On sam z wcielenia wywiódł Krzyż.

Jeżeli zbliżając się do siebie okazujemy się bezradni wobec zmysłów i instynktów, wydani nawzajem na pastwę naszych ciał, to nie wolno się zatrzymywać. Skoro raz zaczęliśmy się tarzać po tej łące, to już nigdy więcej nie stawajmy na nogi. Bo jeżeli istnieje jakaś jeszcze głębsza intymność, to tylko ta, która towarzyszy pielęgnacji starzejącego się, albo rozkładanego śmiertelną chorobą ciała. W każdym spazmie rozkoszy tkwi zapowiedź przedśmiertnego skurczu. Łóżko w hospicjum jest przedłużeniem tego małżeńskiego. To ten sam mebel, tylko bardziej. „Oraz że cię nie opuszczę aż do śmierci” — słowa, bez wypowiedzenia których nie

powinno się zbliżyć do upragnionego ciała, nie są ceną, opłatą wstępną. To raczej przepustka do jeszcze głębszego zjednoczenia. Ostatnia wspólna noc jest wciąż nocą poślubną. Tyle, że jeszcze bardziej.

Ekstaza bliskości nie powinna mijać — pod tym względem nauka moralna Kościoła jest doskonale zgodna z twórczością literacką dedykowaną dla pań w okresie przekwitania. Niech trwa nie minuty czy godziny, ale całe lata. Niech nie daje się nam wyspać, niech ząbkuje i uczy chodzić. „Chwila” rozkoszy nie stanie się pełna, dopóki nie zacznie się jej co roku śpiewać „Sto lat”. Bo tam, gdzie na pierwszy rzut oka widać nieżyciowe reguły, jest tylko konsekwencja. I upór w dążeniu do przeżycia i doświadczenia swojej cielesności bardziej niż wypada, bardziej niż byśmy się ośmielili.

Spotkanie z ciałem, w przeciwieństwie do każdej abstrakcyjnej idei czy literackiej metafory, rodzi zobowiązanie. Za każdym razem pyta o to samo — czy zostaniesz ze mną, aż to wszystko się skończy? Dasz radę dotrzeć do końca? A opuścić je wtedy to więcej niż grzech. To błąd.

Dokładnie to samo pytanie zadaje wychodzące na spotkanie naszych ust i gardeł ciało Chrystusa. Czy będziesz ze mną do końca, nawet jeśli po drodze przydarzyłyby się męczeństwo? Czy wydasz swoje ciało za Mnie, tak jak wydałem Swoje za ciebie? Cielesność zawsze pociąga za sobą wzajemność, nie tylko wtedy, gdy rozgrywa się między ludźmi, ale także między człowiekiem i Bogiem. To dlatego Eucharystia rodzi męczenników, a abstrakcyjne kodeksy moralne mogą wydać na świat co najwyżej hipokryzję. To jak różnica między przygodą a etykietą. Tą pierwszą każdy w głębi serca pragnie przeżyć, tej drugiej nikomu specjalnie nie chce się nawet przestrzegać.

Nasze ciała również czeka podróż dużo dłuższa i bardziej niesamowita, niż nam się zwykle wydawać. W końcu, jeżeli nie mają być naszym więzieniem, muszą być skazane na jakiś ciąg dalszy. Wieczną radość albo potępienie. Muszą zdać sprawę ze wszystkiego, czym były za życia. Tę prawdę trudno jest nam sobie przyswoić, podobnie jak dwojgu kochankom trudno jest przyjąć do wiadomości, że z trwającej właśnie chwili zapomnienia może powstać przyszły kapitan reprezentacji Polski w piłce nożnej.

## Słowo przemawia Ciałem

Problem wynika z ciasnoty naszej chwilowej perspektywy. Z tego, że nasz umysł — pod tym względem nic nie zmieniło się od chwili popełnienia grzechu pierworodnego — jest mocno upośledzony, jeśli chodzi o przewidywanie konsekwencji swoich działań. Może właśnie dlatego tak lubi wynosić się ponad ciało. A potem oburzać na nie, że jest tak bezwstydnie nagie. Tak jakby tylko myśl mogła być lotna lub głęboka, jakby Słowo nie stało się Ciałem, sprawiając że każda powierzchnia nabrała głębi. Ze góra kamieni, zwana katedrą, może być zapowiedzią Nowego Jeruzalem, a płótno pokryte farbą — modlitwą.

W dramacie Paula Claudela „Atlasowy trzewiczek” jeden z bohaterów wyraża gorące przekonanie, że tylko malarstwo Rubensa może wyzwolić Flandrię od protestanckiej herezji:

**Czegóż to chcieli ci smutni  
reformatorzy, jak nie stłumić Boga,  
Srowadzając chemię zbawienia  
między Bogiem a człowiekiem  
do jakiegoś poruszenia wiary,  
Do jakiejś osobistej a pokątnej  
transakcji w ciasnym pokoiku,  
Rozdzielając wiernego i jego  
zlaicyzowane ciało...  
Kto zatem lepiej niż Rubens dokonał  
pochwały Ciała i Krwi  
— tego samego ciała i tej samej krwi,  
Które sam Bóg zapragnął przybrać,  
a które są narzędziem naszego  
zbawienia?  
Podobno nawet kamienie wołać  
będą! Czemu więc tylko ciału  
odmawiasz języka?  
To Rubens zmienia mdłą i cienką  
wodę w nieśmiertelne i wyborne wino.**


Herezji miały oprzeć się nie argumenty, ale biodra o rubensowskich kształtach. Nie to, co chłodne i wyrozumowane, ale to, co gorące i tętniące życiem. Myśl nie jest w stanie się domyślić, że to Ciało w swojej chwale i krąkościami wygra tę bitwę.

Tak właśnie pokonuje się wszystkie herezje i błędy, fałszywe przecucia i kulawe ideologie. Kłamstwo jest w stanie zbić każdy argument. Umysł bywa wobec niego bezradny. Ale Słowo przemawia Ciałem.

**Podczas pisania tego tekstu towarzyszyły mi książki „Kobieta i mężczyzna. Esej o mistyce ciała” Fabrice’a Hadjadja oraz „Co Bóg złączył” Gustava Thibona. Fragment dramatu Claudela cytuję za tą pierwszą.**

JAN MACIEJEWSKI

urodzony w 1990 roku w Mysłowicach na Śląsku. W przeszłości redaktor naczelny wydawanych przez Klub Jagielloński „Pressji”. Obecnie felietonista „Rzeczpospolitej” oraz magazynu weekendowego „Plus Minus”. Mąż Oli, tata Julka, Anieli i Stefana.

A portrait of a woman with long, dark brown hair and light-colored eyes, looking directly at the camera with a neutral expression. She is wearing a dark blue, short-sleeved top. The background is a blurred bookshelf filled with books.

# CHCECIE WALCZYĆ Z PRZEMOCĄ WOBEC KOBIET? BRÓŃCIE RODZINY

*Karolina Pawłowska odsiewa ziarna dobrych  
intencji od ideologicznych plew*

**Jestem kobietą, mam kobiece aspiracje, po kobiecemu patrzę na świat – dlaczego to ma być czymś gorszym? Bo przecież w genderowej optyce nie chodzi o to, by tę moją kobiecą odmienność docenić i wywyższyć, ale wręcz przeciwnie – trzeba sprawić by kobiety zachowywały się identycznie jak mężczyźni.**

▶ **Czy przemoc domowa i przemoc wobec kobiet nie są zjawiskami, których eliminacji warto poświęcić większą niż dotąd uwagę?**

▶ **Karolina Pawłowska:** Przemoc domowa, jak w ogóle każda przemoc występująca w społeczeństwie, to zjawisko wymagające z naszej strony zdecydowanej reakcji. Bardzo często ofiary przemocy nie są w stanie same sobie poradzić w sytuacji, w której się znajdują. Wynika to z samej natury zjawisk przemocowych. I po to właśnie istnieją społeczne struktury, by tym ofiarom pomagać. Właśnie dlatego Instytut Ordo Iuris od lat angażuje się w działania mające na celu pomoc ofiarom przemocy, w tym także przemocy domowej – zarówno jeśli chodzi o pomoc prawną w indywidualnych przypadkach, jak i promowanie propozycji różnych zmian, które miałyby wzmocnić już istniejący system antyprzemocowy.

▶ **Dlaczego zatem Instytut Ordo Iuris tak konsekwentnie opowiada się za wypowiedzeniem przez Polskę Konwencji Stambulskiej, której deklarowanym celem jest walka z tymi właśnie rodzajami przemocy?**

▶ Bo w rzeczywistości nie pomaga ona kobietom, a wręcz przeciwnie – może być instrumentem pogorszenia ich statusu. Każda osoba, która choć trochę orientuje się w historii prawa, patrząc na ten dokument widzi, że wychodzi on z założeń... Nie chcę używać wyświechtanego pojęcia „ideologiczne”.

▶ **Nie bójmy się tego słowa! Owszem, wmawia się nam, że samo wspomnianie o nim to „wyolbrzymianie” i „teoria spiskowa”, ale chyba nie są to głosy rozsądku.**

▶ Tak, to prawda że treść Konwencji, dokumentu Rady Europy o randze międzynarodowej, nie jest wyrazem uniwersalnych wartości, lecz konkretnego, zideologizowanego światopoglądu. Nikt z jej autorów nawet nie ukrywa faktu, że napisano ją w duchu myśli feministycznej i to w jej zdecydowanie radykalnym wydaniu. Wystarczy prześledzić historię pojęcia gender, który w oryginalnym tekście Konwencji Stambulskiej pojawia się aż 25 razy, by zrozumieć że inicjatywa jej stworzenia w takim kształcie wyszła z tych właśnie środowisk.

▶ **Na czym więc polega ideologiczne skrzywienie owego dokumentu?**

▶ Na tym że kobiecość i męskość są przedstawiane w nim jako społeczne wytwory, które jesteśmy w stanie sami sobie skonstruować. Co więcej, te konstrukty nie są dziełem naturalnych układów, nie powstały też pod presją społecznej umowy, lecz wytworzyły się w wyniku nierównych stosunków władzy pomiędzy kobietami a mężczyznami.

▶ **Odwieczna walka płci? Nie sprawiedliwość dla wszystkich, ale walka. A my stoimy po jednej ze stron.**

▶ Tak, walka od zarania dziejów, zaś przemoc, dyskryminacja pojawiły się właśnie z tego powodu. Na takim założeniu ufundowany jest cały tekst. Do tego

owo założenie ujęto w kategoriach marksistowskiej dialektyki. Czytając Konwencję trudno opędzić się od porównania: jak marksiści twierdzili, że wyzysk został ufundowany na nierównych stosunkach własności, tak tutaj wyrugowanie płciowości z życia publicznego (a częściowo także prywatnego) przyczynić się ma do walki z patologiami społecznymi. Co więcej, podobnie jak ongiś zniszczenie kapitalizmu, tak teraz likwidacja form społecznych, opartych na binarnym układzie mężczyzna-kobieta, doprowadzić ma do idealnego ładu społecznego.

W optyce Konwencji Stambulskiej przemoc nie jest problemem wynikającym z patologii, z dysfunkcji podstawowych ludzkich wspólnot, tylko wpisana jest w samą naturę naszego społeczeństwa. Jest immanentną cechą jego funkcjonowania. Musi tak być, skoro zostało ono ufundowane na założeniu, że istnieje męskość i kobiecość, a z kolei ta kobiecość została kobietom narzucona przemocą. I to u prapoczątków dziejów człowieka.

**Kobiety w małżeństwach najrzadziej doświadczają przemocy. A gdzie rodzina jest w rozpadzie, tam przemoc pojawia się znacznie częściej.**

▶ **Mnie przy lekturze Konwencji uderzyło co innego. W całym długim tekście słowo „rodzina” pojawia się dwa razy: w zwrocie „przemoc w rodzinie”. Jest jeszcze „pozbawienie praw rodzicielskich”. To wszystko.**

▶ To też jest ideologiczną warstwą tego dokumentu, który w milczący sposób utożsamia przemoc domową i przemoc wobec kobiet z przemocą w rodzinie. To założenie kompletnie rozmija się z faktami. W rzeczywistości właśnie rodzina jest tym miejscem, gdzie szczególnie mocno działają normy społecznego współżycia. Kobiety w małżeństwach najrzadziej doświadczają przemocy. A gdzie rodzina jest w rozpadzie, tam przemoc pojawia się znacznie częściej. To są twarde dane, wynikające z badań przeprowadzonych przez poważne instytucje, jak chociażby Departament Stanu USA. Według badań przeprowadzonych w Wielkiej Brytanii dzieci, których matki pozostają w konkubinatach, doświadczają przemocy 33-krotnie częściej niż ich rówieśnicy, których rodzice są małżonkami. Wiemy, że rodzina ma dzisiaj rzeczywiście sporo problemów i rodzin dysfunkcyjnych jest naprawdę dużo. Ale fakty uczą nas także, że jeżeli rodzina funkcjonuje w sposób prawidłowy, jeżeli jest wspierana przez państwo, to jest to nie tylko środowisko o relatywnie małej skali przemocy, ale wręcz przed tą przemocą broniące. Swoich członków, ale także w jakiś sposób nas wszystkich. Dlatego to rodzina jest pierwszym miejscem alarmującym, na którym powinni się koncentrować wszyscy, którzy chcą realnie walczyć z przemocą.

► **Chce pani powiedzieć że promotorzy ideologii *gender* – a wśród nich, jak rozumiem, autorzy Konwencji Stambulskiej – realnie z tą przemocą nie walczą?**

► Mogę się powołać na wyniki badań przeprowadzonych przez Agencję Praw Podstawowych Unii Europejskiej, na badania Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju z 2018 r., wreszcie na najnowszy, tegoroczny raport Światowej Organizacji Zdrowia. Wszystkie mówią to samo: w państwach, gdzie dominuje paradygmat *gender*, wskaźnik przemocy domowej i przemocy wobec kobiet jest znacznie wyższy od średniej globalnej. Co więcej, wyraźnie widać to patrząc na państwa, które Konwencję przyjęły. Według opublikowanych w 2014 r. badań Agencji Praw Podstawowych UE, odsetek kobiet, które doświadczyły przemocy jest wysoki właśnie w tych krajach. Przewodzą tu państwa skandynawskie: Dania, Finlandia i Szwecja (odpowiednio 52, 47 i 46 procent), które przecież są liderami we wdrażaniu genderowej polityki równości. W Brukseli i Strasburgu nazywa się to nawet „nordyckim paradoksem”. Tymczasem to nie paradoks, lecz rezultat. Nie myślę tu o samej ratyfikacji traktatu, lecz o procesach, które miały miejsce o wiele wcześniej.

► **Podobno Polska na tym tle wypada nieźle?**

► Ze swoimi 19 procentami relatywnie całkiem dobrze, choć oczywiście nie znaczy to, że u nas tego problemu nie ma. Porównanie Polski i państw skandynawskich pokazuje jednak wyraźnie, że droga wytyczona przez promotorów ideologii *gender* nie jest właściwa. Stan rzeczy, jaki mamy w Polsce, ukształtował się na długo przed 2015 r., kiedy to Konwencję ratyfikowaliśmy. Od tamtej pory specjalnie nic się nie zmieniło. Zresztą ten traktat został w naszym systemie prawnym jakby uśpiony.

► **Kiedy czytam że „ofiara nieletnia otrzymuje specjalne środki ochrony”, rozglądam się i nie widzę przykładów. Cała para idzie na monitorowanie „tęczowych piątków” w szkołach.**

► Ideologia *gender* głosząc że płeć jest społecznym konstruktem – tym samym jest destrukcyjna dla społeczeństwa, dla rodzin, dzieci, wreszcie dla tożsamości każdego z nas. To recepta zbyt prosta, pomijająca wielowątkowość problemu i, co gorsza, otwierająca pola kolejnych konfliktów. Nie tędy droga. Zresztą wydaje mi się, że w tych apodyktycznych tezach pobrzmiewa jakiś kompleks. Jestem kobietą, mam kobiece aspiracje, po kobiecemu patrzę na świat – dlaczego to ma być czymś gorszym? Bo przecież w genderowej optyce nie chodzi o to, by tę moją kobietą odmienną docenić i wywyższyć, ale wręcz przeciwnie – trzeba sprawić by kobiety zachowywały się identycznie jak mężczyźni. W tej wizji nasza tożsamość nie jest czymś, z czego mogłybyśmy czerpać siłę i się cieszyć. A to jest przykre i uwłaczające.

► **Dzieci, kościół, kuchnia – w tych obszarach lewicowy feminizm ścieśnia tradycyjnie rozumiane pojęcie kobiecości.**

► W tej prostej diagnozie częściowo może nawet być coś na rzeczy. Rzeczywiście, w pewnym momencie takie myślenie o kobietach bardzo im zaszkodziło i je uprzedmiotowiło. Ale przyczyną nie jest „tradycja” we właściwym jej sensie, nie jest klasyczny ład społeczny. Dzisiejsze feministki, krytykując zaganianie kobiet do kuchni, odwołują się do modelu mocno widocznego w Stanach Zjednoczonych w latach pięćdziesiątych XX wieku. Widzimy tam z jednej strony miłe *housewives*, z drugiej zaś energicznych mężczyzn, którzy działają w sferze publicznej. Kobiety zaś pozostają w domu, całkowicie wyłączone z szerszej wspólnoty. Ale to nie jest model wzięty z klasycznej wizji społecznej. Stworzyła go nowoczesność. Bo klasyczna wizja społeczeństwa bynajmniej nie zakłada skrajnego rozdzielenia sfery prywatnej od publicznej czy innych sztucznie wytworzonych dualizmów. Myślę tu chociażby o funkcjonowaniu gospodarstw domowych, na których przez wieki opierały się całe duże społeczności.

**Według opublikowanych w 2014 r. badań Agencji Praw Podstawowych UE, odsetek kobiet, które doświadczyły przemocy jest wysoki właśnie w tych krajach. Przewodzą tu państwa skandynawskie: Dania, Finlandia i Szwecja (odpowiednio 52, 47 i 46 procent), które przecież są liderami we wdrażaniu genderowej polityki równości. W Brukseli i Strasburgu nazywa się to nawet „nordyckim paradoksem”. Tymczasem to nie paradoks, lecz rezultat**

► **Dzisiejsza epoka tego nie rozumie, ściśle wiążąc kwestię równości z unifikacją.**

► Dawniej każdy członek wspólnoty miał w niej swoją rolę i nie było w tym nic złego. Społeczeństwo działało jak organizm, gdzie każda część, każda z funkcji jest ważna – na swój sposób. Dziś podsuwa się nam model społeczeństwa zatowarowanego, składającego się z samotnych, bo zunifikowanych jednostek, nad którymi jest już tylko superpaństwo. A ludzie są o wiele słabsi, kiedy są sami.

► **Wróćmy do Konwencji. Nie przyjęło jej 14 państw członkowskich Rady Europy. Ostatnio wypowiedziała ją Turcja, kraj który jako pierwszy ją ratyfikował. W tej sytuacji niemożliwe jest pełne przyjęcie jej przez Unię Europejską, gdyż taki krok, o ile wiem, wymagałby jednomyślnej zgody państw do Unii należących. Może więc niepotrzebnie zwracamy tyle uwagi na dokument, który i tak zapewne umrze śmiercią naturalną?**

► Konwencja Sтамбуlska jest elementem szerszego zjawiska, którego nie należy lekceważyć. Dzisiejszy styl podejmowania decyzji prawnych, także tych o randze międzynarodowej, ewoluje w niepokojącym kierunku. Geneza tego procesu nie jest nowa. W klasycznej wizji prawo miało być odwzorowaniem naturalnego, uniwersalnego prawa, które istnieje niezależnie od woli człowieka. Ten sposób patrzenia sprawiał, że ustawodawca musiał się odwoływać do wyższych wartości. W nowożytności zerwano z tym założeniem, twierdząc że prawo naturalne jest nie do odczytania przez człowieka i tak naprawdę człowiek (a w praktyce suweren) jest w stanie sam sobie ustanowić takie prawo, jakie mu odpowiada. Prawo to w tym założeniu czysta władza – decyzja suwerena. Potem tę tendencję odrywania prawa od uniwersaliów wzmocnili pozytywiści czy normatywiści, tacy jak Hans Kelsen z jego „czystą teorią prawa”. Zakładali oni, że treść prawa nie ma znaczenia, jeżeli tylko zachowane są odpowiednie procedury jego przyjmowania. Do czego to doprowadziło w XX wieku? Formalnie, z zachowaniem wszelkich procedur – jak miało to miejsce w nazistowskich Niemczech – ustanawiało się w Europie prawo skrajnie godzące w prawa człowieka. Wydawałoby się że przewyżczyliśmy tamte nadużycia, ale przecież pozostało w nas przeświadczenie, że prawo, które obowiązuje obywateli, zależy tylko i wyłącznie od decyzji ustawodawcy. A taki stan rzeczy musi budzić obywatelski niepokój.

Kolejnym etapem tej niebezpiecznej tendencji jest rodzący się na naszych oczach sposób przyjmowania treści, które nabierają mocy prawa. Proszę spojrzeć choćby na to, co dzieje się w Unii Europejskiej czy ONZ. Aby zmieniać prawo na poziomie międzynarodowym, do niedawna potrzebna była wyraźna, zawarowana traktatem zgoda wszystkich państw, których dana regulacja dotyczyła. I ta zgoda państw, przynajmniej w intencji, była wyrazem zgody społeczności przez agendy państwowe reprezentowanych. Tymczasem dziś coraz większy nacisk kładziony jest na nadinterpretację poszczególnych przepisów przez różne tajemnicze komitety. Są zalecenia, rezolucje, komentarze, rekomendacje, strategie, dokumenty które nie są nazywane prawem, ale jednak kształtują debatę na międzynarodowych forach.

► **Zapominamy o tym, czym jest „podmiot stanowiący” – społeczność tworząca państwo.**

► Z drugiej strony ten nacisk kładzie się na tworzenie nowych kategorii *soft law*. To „miękkie prawo” funkcjonuje na zasadzie niby niewiążącej, wdrażane przez sugestie wyżej wspomnianych, anonimowych „gron

ekspertów”. Dziś nawet kolegia, które w założeniu miały stać na straży tych traktatów, często reinterpretują je w duchu sprzecznym z ich treścią.

► **Proszę o przykłady takich nadużyć.**

► Myślę tu chociażby o Komitecie Praw Dziecka, który w teorii powinien nadzorować przestrzeganie Konwencji Praw Dziecka w tych państwach, jakie ją podpisały i ratyfikowały. Mieliśmy do czynienia z takimi rekomendacjami Komitetu, które mówią, że w imię prawa do życia, czy też praw dziecka, powinna być dozwolona aborcja. Dozwolona także osobom nieletnim. Jak to się ma do litery Konwencji Praw Dziecka, która w swojej preambule i przepisach jasno stwierdza, że każde życie powinno być chronione? Mamy też do czynienia z podobną w stylu działalnością Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu, który już od dawna, pomimo jasnych sformułowań Europejskiej Konwencji Praw Człowieka, w sposób dowolny podchodzi do kwestii definiowania rodziny.

W ten sposób każde prawo, także to potwierdzone międzynarodowymi traktatami, może być podważane i arbitralnie reinterpretowane. To bardzo niebezpieczny trend, który daje tym międzynarodowym instytucjom niesamowitą władzę. I to taką, jaka nie ma zakorzenienia w autentycznych strukturach społecznych. Obywatele poszczególnych państw nie mają pojęcia, co się tam dzieje. Ludzie którzy orzekają, co jest prawem – czy to w komitetach, czy też w poszczególnych trybunałach – bardzo rzadko wybierani są w transparentny sposób.

► **Czy wytrychem do tych reinterpretacji nie staje się modne ostatnio definiowanie Europejskiej Konwencji Praw Człowieka – podobnie jak innych praw unijnych – jako „żywego instrumentu” (*living instrument*), który „musi być interpretowany z uwzględnieniem dzisiejszych warunków”?**

► A przecież samo pojęcie „praw człowieka” wymyślono po to, aby przeciwdziałać takim relatywistycznym tendencjom. Chodziło o to, by w żadnym państwie, w sposób formalnie prawidłowy, nie ustanawiano prawa godzącego w wolność człowieka i obywatela. System, w którym owo pojęcie funkcjonuje, z samego założenia powinien być niezależny, uniwersalny, niezmienny i nie podlegać wpływowi politycznym – aby nigdy nikogo nie mógł pozbawić praw fundamentalnych.

Narracja mówiąca, że traktaty międzynarodowe to „żywe instrumenty”, których treść możemy traktować zgodnie z tak zwanym duchem czasu, jest bardzo niebezpieczna. Pozwala na relatywizowanie kwestii tak podstawowych, jak prawo do życia czy ochrona rodziny jako związku kobiety i mężczyzny. Także na redefiniowanie pojęcia praw człowieka, jak również licznych elementów języka, jakim sfera prawa się posługuje. Przykładem może być powszechne przekonanie, częste nawet wśród prawników, że elementem oficjalnego języka Unii Europejskiej jest pojęcie *gender equality*. A to nie jest to samo, co równość kobiet i mężczyzn. Tymczasem, gdy sprawdzimy poszczególne traktaty, okaże się że owo pojęcie nigdzie się tam nie pojawia. Na takich mistyfikacjach



© Rembrandt Harmenszoon van Rijn, commons.wikimedia.org

buduje się obecnie całą unijną narrację. To samo próbuje się zrobić wmawiając nam, że w europejskim systemie prawnym istnieje coś takiego jak prawo do aborcji – chociaż to pojęcie nigdy tam nie funkcjonowało.

► **Listopadowa rezolucja Parlamentu Europejskiego, która prawo do aborcji uznaje za prawo człowieka, nie jest aktem błędnym, lecz haniebnym. I dziwię się, kiedy nawet jej krytycy oceniają ją chłodnym okiem, bez dreszczu metafizycznego przerażenia. Ale jest też przykładem wspomnianego przez panią mętnego języka. Chociażby jej tytuł: „w sprawie faktycznego zakazu aborcji w Polsce”. To w końcu jest ten zakaz, czy go nie ma? Bo mnie, laikowi, wydaje się że litera prawa jest po to, by nie zajmować się „faktyczną”, lecz „formalną” stroną życia – ale**

**oczywiście w taki sposób, by dobrze sformułowany aspekt formalny, w miarę możliwości, nagiął do siebie „faktyczne” czyli niedoskonałe normy życiowe. Myślę więc, że w rezolucji operującej pojęciami prawa coś takiego, jak nieformalny zakaz, jest czymś dziwnym.**

► Ciekawym precedensem jest przykład Bułgarii, gdzie w 2018 r. trybunał konstytucyjny orzekł o niekonstytucyjności postanowień Konwencji, a nawet zakwestionował jej zgodność z samą zasadą państwa prawa. Według tego orzeczenia prawo, aby było wykonywane sprawiedliwie, musi być jasne i jednoznaczne, zaś dwa równoległe i wzajemnie się wykluczające pojęcia „płci” tę jednoznaczność wykluczają. Ale takich zdroworozsądkowych orzeczeń jest ciągle zbyt mało. Nawet jeśli Konwencja Stambulska nie ma



szans na ratyfikację na poziomie Unii Europejskiej jako całości, jej duch przenika w inny sposób – chociażby poprzez orzecznictwo trybunału w Strasburgu, który do interpretacji poszczególnych kwestii sam sobie dobiera odpowiadające mu instrumenty prawne. Konwencja, choć odrzucona na poziomie UE, będzie rezonowała w ten sposób, że komitet monitorujący jej wykonywanie będzie teraz wydawał cykliczne raporty, które potem będą powielane przez inne komisje, powstaną kolejne rezolucje itd. To działa jak gotowanie żaby.

► **Czy listopadowa uchwała może mieć realny wpływ na orzecznictwo Strasburga?**

► Teoretycznie Trybunał nie powinien brać pod uwagę rezolucji Parlamentu Europejskiego, który jest ciałem stricte politycznym. Trybunał, nawet interpretując podobne dokumenty, mimo wszystko stara się opierać na wiążących go instrumentach prawnych. PE to odrębny temat. Oni nierzadko przyjmują rezolucje nie tylko niezgodne z obowiązującym prawem międzynarodowym, ale oparte na fake newsach. Sami tego doświadczyliśmy w listopadzie, kiedy to mimo wyroków sądowych powiązano nas z tworzeniem tak zwanych stref wolnych od LGBT. Tymczasem nasz instytut się w to nie angażował, my zachęcaliśmy tylko do przyjęcia przez samorzady Samorządowej Karty Praw Rodziny, która stwierdza to samo, co polska konstytucja: rodzina jest podstawową komórką społeczną. Zatem wymaga ochrony ze strony instytucji samorządowych. Należy jednak jasno zaznaczyć, że rezolucje PE nie mają żadnej mocy prawnej i są tylko politycznymi próbami nacisku na poszczególne państwa UE.

► **„Nieuświadomiona potrzeba”, „prawa reprodukcyjne”... Język dokumentów takich jak Konwencja Stambulska pełen jest podobnych żargonowych zwrotów.**

► Terminy „prawa reprodukcyjne” czy „zdrowie reprodukcyjne” wymyślono bynajmniej nie po to, by chronić kobiety. Kiedy dotrzemy do pierwszych dokumentów ONZ, uchwalonych jeszcze w latach 60. czy 70., wyraźnie zobaczymy, że pojęcia kontroli populacji, planowania rodziny zostały tam wprowadzone w intencji zmniejszenia globalnej liczby rodzących się dzieci. Swoisty neomaltuzjanizm. Dopiero po 30 latach terminy te zostały przejęte przez feministki (szczególnie podczas konferencji w Kairze w 1994) i teraz ubiera się je w szaty wyzwolenia kobiet.

„Nierówne stosunki reprodukcji” – samo myślenie w tych kategoriach to straszna redukcja problemów praw kobiet. Zdecydowana większość spośród nas w codziennym życiu ma zupełnie inne, o wiele bardziej poważne problemy. Dyskryminacja ze względu na macierzyństwo? Rozwiązaniem nie jest ucieczka od macierzyństwa, ale wrażliwość struktur wyższych na problemy rodzin, które przecież nie są balastem ani dla samorządów, ani dla państwa. Chodzi o to, żeby te struktury pomagały, i to nie tylko kobietom, bo są przecież także ojcowie. Tymczasem unijna strategia

definiuje macierzyństwo jako największą przeszkodę na drodze samorealizacji kobiety.

► **W tymże duchu wypowiedział się ostatnio lider naszej największej partii opozycyjnej, używając słów „udręka” i „niewolnica”.**

► To bardzo jednostronna optyka. Skoro to jest największą przeszkodą, żeby walczyć o równouprawnienie kobiet, to tego macierzyństwa należałoby się wyzybyć, oddać dzieci instytucjom i pracować na pełen etat, jak mężczyzna.

► **Jest jeszcze inny tego rodzaju zwrot: *youth leadership*. Jak go pani ocenia?**

► Mocny nacisk międzynarodowych organizacji na „partycypację młodzieży” to pozornie zjawisko pozytywne. Gorzej że stoi za tym kontekst ideologiczny. Nie chodzi tu o wzrastanie młodzieży w dojrzałości, ale o wyciąganie jej z podstawowych struktur społecznych. W wydanym w zeszłym roku poradniku Funduszu Ludnościowego (UNFPA) eksperci ubolewają, że ze względu na pandemię nie mają dostępu do niechodzącej do szkół młodzieży, proponują więc, by z wśród równolatków wyłaniać oświeconych liderów, którzy będą zachęcali rówieśników do angażowania się w „grupy edukacji seksualnej”. A przecież wiadomo, jak bardzo podatne na wpływy w grupie rówieśniczej są nastolatki.

► **U nas to nie przejdzie. Może w krajach dalszego Zachodu, gdzie nie ma dystansu do instytucji państwowych, jaki Polacy mają we krwi. W tym jednym wypadku ta nasza nieufność może się przydać.**

► Oby miał pan rację.

► **„Strażniczka domowego ogniska” – to pojęcie wywołuje furię feministek. Ujmijmy więc sprawę łagodniej. Co powie pani wszystkim osobom dobrej woli, które widzą w kobiecie naturalną rzecznikę rodziny?**

► Ale czy mężczyzna nigdy nie był w równym stopniu tej rodziny rzecznikiem? Tylko inaczej, bardziej na forum publicznym, choć i na tym polu kobiety się wyróżniały. Wspomnijmy chociażby niesamowite postacie świętych kobiet w Kościele katolickim. Rzecznikami rodziny są obydwój. I mogą się dopełniać i być tymi rzecznikami na różne sposoby.

► **rozmawiał Jacek Borkowicz**

KAROLINA PAWŁOWSKA

Dyrektor Centrum Prawa Międzynarodowego w Instytucie Ordo Iuris. Autorka licznych raportów, analiz i ekspertyz z zakresu prawa międzynarodowego. Pracuje nad pracą doktorską na temat ewolucji koncepcji praw reprodukcyjnych i seksualnych w prawie międzynarodowym.

# WOJNA Z PŁCİĄ W PÓŻNEJ NOWOCZESNOŚCI. STARE HEREZJE W TĘCZOWYCH BUKŁAKACH

MICHAŁ KUŹ

**U podstaw nabierającej rozpędu rewolucji seksualnej tkwi chęć odrzucenia samej biologicznej płciowości jako czegoś, co nas jakoby niepotrzebnie ogranicza. W rezultacie progresywne myślenie o seksualności wikła się jednak w niekończące się sprzeczności, które zaskakująco przypominają dawne heretyckie sposoby usuwania grzechu pierwородnego poprzez zdejmowanie ubrań czy też odcinanie części ciała.**

Rewolucja genderowa, która przetacza się obecnie przez Zachód jako druga faza wielkiej rewolucji seksualnej, tworzy co najmniej trzy fundamentalne paradoksy. Po pierwsze, próbując zupełnie uciec od religijnego konserwatyzmu, dowodzi, jak bardzo moderna jest związana z tradycją judeochrześcijańską. Po drugie, dążąc do pełnego seksualnego wyzwolenia unieważnia płciowość w sposób, o jakim nie marzyli nawet najbardziej zagorzali asceci. Po trzecie, nawiązując do tradycji feminizmu i ruchów gejowskich, podważa ich dawne postulaty, tak jak nie śmiałyby tego dziś uczynić żaden prawicowy radykał.

## Poza binarnością

Największe stowarzyszenie amerykańskich lekarzy zarekomendowało w sierpniu 2021, by w aktach urodzenia nie oznaczać płci dziecka. Chodzi o to, by nie

dyskryminować tym samym osób, które w przyszłości odkryją swoją płciową niebinarność. Gromy ciskane są równocześnie na artystów, naukowców i celebrytów, wyrażających - jak choćby J. K. Rowling - swoje przywiązanie do tradycyjnych biologicznych wyznaczników płciowości. Biada też politykom, którzy, tak jak znana niemiecka socjalistka Gesine Schwan, użyją złego zamka zwracając się do osoby, która nie chce się akurat binarnie identyfikować.

W środowiskach konserwatywnych i obszarach politycznie oraz geograficznie odległych od progresywnych centrów ta debata może się wydawać mniej istotna, ale nie ulega wątpliwości, że zainicjowana przez nią kulturowa fala rozleje się bardzo szerokim nurtem. Jeszcze w czerwcu, a więc dwa miesiące przed niesławną ewakuacją, amerykańska ambasada w Kabulu przypominała na swoim koncie twitterowym o miesiącu dumy LGBTQI. Ten drobny pozornie

fakt dowodzi, że mówiąc dziś o gender dotykamy fundamentów etycznych progresywnych zachodnich elit. Przekonań, z których nie są one w stanie zrezygnować nawet wtedy, kiedy uzasadnia to zwykły polityczny pragmatyzm.

Biologiczna płeć zwierząt – ssaków jest przy tym oczywiście binarna, i to nawet przy występowaniu mieszanych drugorzędnych cech płciowych. Określa ją bowiem zdolność do produkcji określonych gamet: męskich lub żeńskich. W skrajnych przypadkach płeć taka może być trudna do określenia, nie jest jednak bynajmniej dzięki temu otwartym spektrum. W przypadku człowieka na płeć biologiczną nakłada się jednak również społeczne tej płci postrzeganie. Radykalizm rewolucji genderowej polega zaś na tym, aby społeczną płeć ludzką potraktować jako sferę wolności, radykalnie niezależną od biologii, aż do wytworzenia silnego kulturowego nakazu traktowania biologicznej płciowości człowieka jako tematu tabu we wszystkich sferach życia

Nie ma w tej ocenie, jak sądzę, ani krzty przesady. Zainteresowanym polecam lekturę świetnej, niedawno przełożonej na polski, książki autorstwa kanadyjskiej dziennikarki i neurolożki dr Debry W. Soh „Gender bez emocji. Co mówi nauka o płci i tożsamości płciowej”. Soh, prywatnie feminizująca progresistka, naukowo zajmowała się początkowo zagadnieniem neurologii ludzkiej płciowości. Z czasem stało się jednak dla niej jasne, jak trudno jest prowadzić badania w sytuacji, w której anglojęzyczny dyskurs naukowy coraz rzadziej w ogóle pozwala na mówienie o biologicznej płci (ang. sex). Soh podaje przykład czasopisma, które zażądało wprost, by o płci społecznej (ang. gender) pisać nawet w odniesieniu do... myszy laboratoryjnych. Naukowcy coraz głośniejsz narzekają też na trudności w przeprowadzaniu tak oczywistych procedur jak konstruowanie grup osób badanych z podziałem na płcie biologiczne. Sama dziedzina badań Soh opierała się do tego na fundamentalnie antygenderowym założeniu. Sugerowanie, że istnieją różnice neurologiczne pomiędzy kobietami a mężczyznami, czy choćby nawet osobami homo- i heteroseksualnymi, to bowiem najkrótsza droga na internetowy i zawodowy stos, który chętnie podpalą krewcy aktywiści.

## Od adamitów do LGBT

Nietrudno w zapalczywości awangardy rewolucji genderowej odkryć cechy swoistego mesjanizmu czy purytanizmu à rebours. Uważam jednak, że można postawić też znacznie śmielszą tezę. To co obserwujemy wydaje się, mianowicie, być modernistyczną wariacją na temat bardzo starej i wciąż odradzającej się herezji chrześcijańskiej, traktującej zwalczanie płciowości jako drogę do odtworzenia stanu sprzed upadku człowieka i jego ostatecznego duchowego wyzwolenia. Taka teza jest zaś kolejnym kamyczkiem do ogródka tych, którzy jak wybitny filozof Eric Voegelin twierdzą, że cała moderna jest w ogóle tylko próbą immanentyzacji chrześcijańskiego eschatonu – czyli wcielenia w świecie materialnym w życie rzeczy z punktu widzenia religii ostatecznych.

Zachodnie pojęcie gender byłoby w tym ujęciu możliwe tylko na judeochrześcijańskim gruncie kulturowym, zaś w innych obszarach pozostawałoby albo niezrozumiałe i ignorowane (np. Chiny, Indie), albo zwalczane jako spalenie trwającej od wieków tradycji (np. świat islamu).

Każda heretycka sekta czerpie przy tym zwykle z elementów już znajdujących się w nurcie głównym, nadaje im jednak wymiar i znaczenie daleko wykraczające poza kanon konwencjonalnej teologii. Nie inaczej było w przypadku historycznego antypłciowego i antyseksualnego sekciarstwa chrześcijańskiego. Elementem, który sprawiał, że takie sekty mogły w ogóle zaistnieć, jest przede wszystkim specyficznie judeochrześcijańska wizja Boga i jego pierwotnej relacji z człowiekiem. Świat dla chrześcijan i Żydów powstał bowiem na mocy woli jednego stwórcy i nie zawiera w sobie w sposób immanentny dwóch pierwiastków: męskiego i żeńskiego, tak jak ma to miejsce w hinduizmie, w tradycyjnych wierzeniach chińskich i w niemal wszystkich formach animizmu oraz politeizmu. Bóg starotestamentowy, choć tworzy ludzi na swój obraz i podobieństwo, sam jest przecież pobawiony dającego się objąć ludzkimi zmysłami ciała, a więc i płci w normalnym tego słowa rozumieniu.

Pismo w odniesieniu do Boga Ojca stosuje naturalnie męski rodzaj gramatyczny, ale mówienie np. o boskich genitaliach, co w wielu wierzeniach judeochrześcijańskich jest przecież zupełnie normalne, w naszej tradycji duchowej uchodzi za aberrację. W przypadku Zbawiciela – Chrystusa dokonuje się oczywiście tajemnica wcielenia, i to wcielenia w ciele mężczyzny. Ewangelia Łukasza wspomina w tym kontekście jasno o obrzezaniu (2,21) Dzieciątka Jezus. Chrystus pozostaje jednak dla chrześcijan współtłoty Bogu, nie jest tylko prorokiem czy założycielem religii, jego seksualności także nie przedstawia się więc w ewangelicznym opisie jako typowo ludzkiej. Inaczej niż Zoroaster, młody Budda czy prorok Muhammad Chrystus nie żeni się i nie wykazuje ku temu skłonności. Nawet kuszący go szatan u ewangelisty Mateusza (4, 1-11) nie stara się też manipulować Jezusem przy użyciu tej akurat jakże ludzkiej słabości.

Nic dziwnego, że wyobraźnię antypłciowego sekciarstwa judeochrześcijańskiego znacznie bardziej rozpałał jednak Stary Testament. Co znamienne, pierwszy człowiek – Adam, choć także opisywany jako mężczyzna, początkowo nie jest jednak płciowo w pełni dookreślony, płeć żeńska w drugim opisie stworzenia człowieka pojawia się przecież dopiero później. Zresztą nawet kiedy już się faktycznie pojawia, to z początku ma bardzo specyficzny charakter. Pierwsi ludzie – Adam i Ewa żyją bowiem w Edenie w stanie beztrudnej seksualnej wolności, którą, i to chyba kluczowy element, charakteryzuje przede wszystkim nieświadomość pewnych emocji, takich jak wstyd, i konwencji, takich jak zakrywanie części intymnych. W raju brak też, co także niezmiernie istotne, trudnych życiowych konsekwencji życia seksualnego takich jak „rodzenie w bólu”, czy konieczność utrzymania rodziny pracując „w pocie czoła”.

W wielu czytelnikach Pisma Świętego lektura Księgi Rodzaju na przestrzeni wieków rodziła więc chęć odwołania stanu rajskiej płciowej niewinności. W teologii te wierzenia nazywa się zwyczajowo adamityzmem i charakteryzuje je kultywowanie nagości oraz, w mniejszym lub większym stopniu, swobody w zachowaniach seksualnych. Doniesienia o pierwszych tego typu grupach pojawiających się w antycznej Afryce Północnej pochodzą już z drugiego wieku naszej ery, wspomina też o nich święty Augustyn w wieku czwartym. Dwie najlepiej nam znane sekty adamistyczne to jednak bez wątpienia trzynasto- i czternastowieczna holenderska Herezja Wolnego Ducha oraz piętnastowieczni czescy nikolaici (współcześni husytom). O inspirowanie się teologią tych pierwszych posądzano nawet swego czasu genialnego malarza – Hieronima Boscha.

Szczegółowa historia i dziejowe doktryny adamitów nie są jednak dziś tak ważne jak ogólny kierunek ich myśli, bliski współczesnym rewolucjom seksualnym. Moderna oświeceniowa, która wciąż wpływa na nasze życie, w wielu aspektach zakłada bowiem, podobnie jak sekty gnostyckie, możliwość realizacji rajskiego ideału tu i teraz za pomocą zwykłych, materialnych środków. Nie inaczej jest też z rajską seksualnością. Stan pożądany to w efekcie biegunowa przeciwność tradycyjnych konwencji i prokreacyjnych konsekwencji stosunków płciowych. Takie ujęcie płciowego raju immanentyzuje, czyli usiłuje wcielić w życie pierwsza rewolucja seksualna wieku dwudziestego - wraz z pigułką antykoncepcyjną i wolną miłością.

Można jednak w poszukiwaniu stanu seksualnego wyzwolenia pójść jeszcze dalej, i ten ruch także był już przećwiczony, choć w mniejszej skali, przez chrześcijańskie sekciarstwo. Można spróbować odrzucić samą płciowość jako coś, co nas niepotrzebnie ogranicza i potraktować jej istnienie jako li tylko akt zupełnie wolnej woli. Jako pierwszy o kultywowanie takich wierzeń oskarżony został już w trzecim wieku słynny teolog Orygenes z Aleksandrii (184-253).

Największym bodajże ruchem antypłciowym wewnątrz chrześcijaństwa byli jednak rosyjscy skopcy. Ta powstała w osiemnastym wieku sekta w początkach wieku dwudziestego mogła liczyć już grubo ponad sto tysięcy wyznawców, z których ostatni przetrwali w Związku Radzieckim co najmniej do lat siedemdziesiątych minionego stulecia. Teologicznie w wierzeniach skopców najbardziej interesujące jest skojarzenie faktu posiadania płci biologicznej z grzechem. Założyciel sekty Kondratij Seliwanow miał wręcz twierdzić, że na ciele Adam i Ewy genitalia pojawiły się dopiero na skutek grzechu pierworodnego, jako jego widoma oznaka. Ostatecznym lekiem na ten stan rzeczy była dla Seliwanowa zaś tzw. wielka pieczęć, a więc rytualna kastracja mężczyzn z członkiem włącznie, a w przypadku kobiet obcięcie piersi, łechtaczki oraz warg sromowych. Mała pieczęć oznaczała z kolei jedynie obcięcie jąder

i sutków u kobiet. Te brutalne praktyki na gruncie chrześcijaństwa uzasadniano w oparciu o jeden tylko, rozmaicie zresztą tłumaczony fragment Ewangelii według św. Mateusza (19,12), w którym w rzeczywistości mowa jest o wstrzemięźliwości i niezakładaniu rodziny w ogóle, jako o jedynej akceptowalnej w nauce Jezusa alternatywie dla monogamii i wierności małżeńskiej.

Wydaje się, że krwawa pseudoasceza skopców niewiele ma wspólnego ze współczesną permissywną z pozoru rewolucją genderową. Uderza jednak podobieństwo etycznych intuicji opierających się na przekonaniu, że płć biologiczna to coś, co można wziąć w nawias mocą własnej nieprzymuszonej woli i w imię osiągnięcia wewnętrznego wyzwolenia. Zastanawiające jest też przekonanie, że seksualność można zgodnie z własnym uznaniem modyfikować, dokonując drastycznych operacji na własnym ciele. Wspominana już Debra Soh, opisując współczesne koncepcje gender, wiele uwagi poświęca również nieprzemysłanym operacjom zmiany płci, na które coraz częściej, w majestacie prawa, decydują się osoby niepełnoletnie, wciąż doświadczające niepokojów związanych z dojrzewaniem. Jak zaznacza badaczka, są oczywiście przypadki, w których taka ingerencja faktycznie ratuje życie i zdrowie pacjenta, wtedy poddawana jej osoba nie ma jednak wyboru. Tymczasem traktowanie operacyjnej korekty płci biologicznej w kategoriach dowolności jest co najmniej nieporozumieniem.

## Rewolucja zjada własne dzieci

Owa „nieznośna lekkość” płciowości w późnej modernie prowadzi zresztą do otwartego konfliktu postulatów pierwszej i drugiej fali rewolucji seksualnej. Płynny gender zderza się bowiem boleśnie zarówno ze starym feminizmem, jak i z niektórymi dawnymi interpretacjami homoseksualizmu. W tym pierwszym przypadku można mówić zresztą o kolejnym judeochrześcijańskim elemencie. Nowy postbinarny człowiek późnej moderny jest bowiem z jednej strony nieokreślony, a z drugiej jednak, podobnie jak Adam tuż po stworzeniu, przypomina bardziej mężczyznę niż kobietę. Nic dziwnego, że obstawanie przy biologicznych wyznacznikach kobiecości, takich jak menstruacja i macierzyństwo, staje się dla progresywnych radykałów nie do zaakceptowania. Wrogiem nie jest już dla nich bynajmniej szowinistyczny macho, z którym wojowały jeszcze niedawno feministki, dla nowej rewolucji seksualnej kamieniem obrazy staje się tzw. terf(ica). Jest to uznawany za obelgę akronim od *trans-exclusionary radical feminist* (transwykluczająca radykalna feministka), a więc działaczka feministyczna, która odmawia kobietom transpłciowym kobiecości, ponieważ nie posiadają one typowo biologicznych cech żeńskich.

Drugą ofiarą tak ujętej płciowości jest zaś dawne pojmowanie homoseksualizmu jako pewnej cechy neurologicznej, z którą dana osoba przychodzi na świat.



© Francisco Goya, commons.wikimedia.org

Zachodni aktywiści gejowscy starszej daty istotnie bowiem szli bowiem w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych wieku dwudziestego na demonstracje z hasłem „born that way”, czyli „taki już się urodziłem” na ustach. Pełne oderwanie płciowości ludzkiej od biologii i przeniesienie jej do królestwa nieskrępowanej wolności tworzy jednak tutaj niemały problem. Skoro bowiem płeć to tylko wybór, to tym bardziej jest nim orientacja seksualna. A skoro tak, to czy jest coś złego w namawianiu, by ktoś swoją orientację zmienił np. ze względów religijnych? Nowe pojmowanie seksualności dopuszcza więc coś, co dla postępowców jeszcze niedawno było nie do pomyślenia i wikła całe progresywne myślenie o płciowości w niekończące się sprzeczności.

Wciąż pączkujące modernistyczne herezje seksualne jeszcze przez długie dziesięciolecia będą więc zapewne zaczerpnąć papier swoimi zawiłymi elukubracjami i okładać nawzajem swoich przedstawicieli anatemami. U podstaw całego procesu, podobnie jak u podstaw dawnego płciowego sekciarstwa, tkwi bowiem pewien stary jak świat defekt etyczny - pycha, lub, jak to ujął Leszek Kołakowski, przekonanie, że Pan Bóg jest nam coś „dłużny”. Z tej postawy wywodzi się myśl, że możemy zawsze i wszędzie wybrać kim i czym jesteśmy,

nawet nasza biologia w niczym nas tu nie ogranicza. Jest to myśl zaskakująco pokrewna dawnemu heretyckiemu twierdzeniu, że zdejmując ubranie lub odcinając sobie części ciała można ot tak po prostu zupełnie samodzielnie odrzucić grzech pierworodny. Oba toki myślenia są oczywiście sprzeczne z judeochrześcijańską ortodoksją, która każe nam chrześcijanom akceptować fizyczną, binarną płeć jako część świata, w którym żyjemy. Płeć to dla nas źródło miłości małżeńskiej oraz rodzicielstwa, ale i niezliczonych, często rozdzierających cierpień, od których tylko częściowo możemy się sami uwolnić.

#### MICHAŁ KUŹ

doktor nauk politycznych i publicysta, w latach 2018-21 również w służbie dyplomatycznej. Współpracował m.in. z „Nową Konfederacją”, „Pressjami”, i „Rzeczpospolitą”, a obecnie jego eseje i analizy poza „Magazynem Kontra” ukazują się także w „Rzeczach Wspólnych” oraz „Teologii Politycznej co tydzień”. Absolwent Louisiana State University, pracuje jako wykładowca w anglojęzycznym programie International Relations na Uczelni Łazarskiego.

# NIEUŻYTECZNI OBROŃCY ROZSĄDKU

JACEK BORKOWICZ

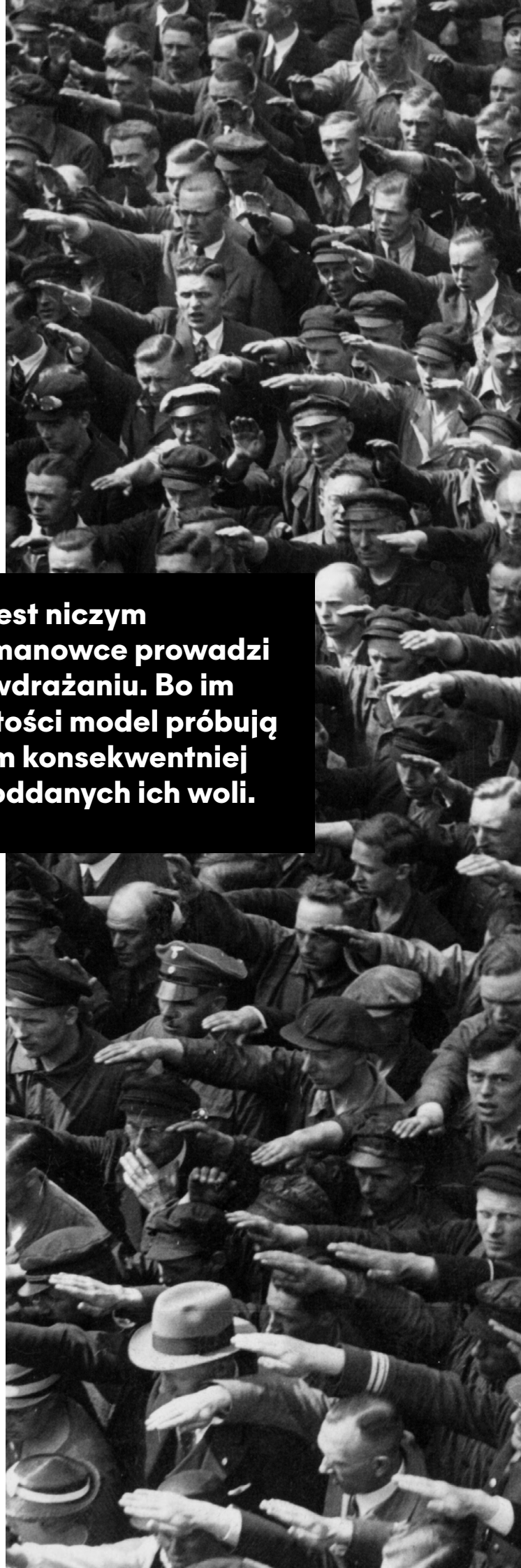
**Szalona myśl, sama w sobie, nie jest niczym niebezpiecznym. Na prawdziwe manowce prowadzi nas dopiero konsekwencja w jej wdrażaniu. Bo im bardziej odjechany od rzeczywistości model próbują realizować inżynierowie dusz, tym konsekwentniej powinni zmuszać do tego ludzi poddanych ich woli.**

Zjawyły się gdy odganiała ptaki. Dwie niewyraźne sylwetki wypłynęły w jej stronę zza kolb dojrzewającej kukurydzy. Czy od razu poznała duchy? Wiemy, że tajemniczy przybysze przedstawili się dziewczynie jako jej zmarli przodkowie. Właściwie wszystko co wiadomo o tamtym wydarzeniu, znamy z relacji samej Nong Kwawuse. Ośmioletnia pasterka, która tego dnia pomagała jej w polu i w krytycznym momencie stała obok, była zbyt mała, by ktokolwiek potraktował ją poważnie jako świadka.

Było to w kwietniu 1856 roku na południowym krańcu Afryki, dziesięć lat po tym gdy w odległym La Salette piętnastoletniej Melanii Calvat ukazała się Matka Boża. Być może Nong Kwawuse usłyszała coś niecoś o Melanii od stryja, który sam parając się wróżbiarstwem należał do klasy miejscowego duchowieństwa, mógł więc się zetknąć z chrześcijańskimi kolegami po fachu - francuskimi misjonarzami - gdy przebywał w Kolonii Przylądka.

Ale stryj – przyjmijmy oficjalną wersję tej podchodzącej legendą opowieści – początkowo nie uwierzył bratanicy. Dopiero gdy ta szczegółowo opisała wygląd jednej ze zjaw, rozpoznał w niej zmarłego brata, ojca dziewczyny. Nong Kwawuse nie mogła go pamiętać, zginął, podobnie jak matka, podczas wojny

© Wodowanie Horst Wessel; w kółku widoczny August Landmesser, commons.wikimedia.org





z Brytyjczykami, gdy ona dopiero zaczynała chodzić. Sierota wyrosła pod opieką stryja.

Przekonany opiekun postanowił niezwłocznie przekazać nowinę władcy. Wziął więc kij podróżny i udał się do oddalonej o dzień marszu stolicy królestwa. Stolica składała się wówczas z kilkuset trzcinowych chat, z których największa stanowiła rezydencję króla Sarili. Rządził on jednym z kilku plemiennych państw, na które dzielił się wówczas naród Khosa, dziś jeden z największych etnosów republiki Południowej Afryki. W każdym z tych państw rządził naczelnik zwany królem, ale Sarili był spośród nich najpotężniejszy. I tylko on jeden myślał o zjednoczeniu wszystkich Khosa.

Dlaczego potężny władca miałby przyjąć na audycji wiejskiego znachora? Bo Mhlakaza, stryj dziewczyny, nie był szeregowym poddanym, jego ojciec był doradcą, a nawet kimś więcej, bo prawą ręką króla. Sarili znał osobiście Mhlakazę, którego od razu wpuszczono do sali tronowej.

Przybysz szczegółowo powtórzył władcy to, co usłyszał od dziewczyny, a co z kolei jej przekazane zostało przez duchy. Poddani króla Sarili, jak wszyscy Khosa, nie znali pisma i w tej sytuacji wszelkie wiadomości i nowiny przekazywano sobie notując je w pamięci. Zatem pamięć mieli ci ludzie wyśmienitą.

Nasze bydło choruje, a obcy panoszą się po naszej ziemi – mówił Mhlakaza. I tak będzie, póki się nie oczyścimy. Trzeba wybić całe nasze bydło, bo wyhodowały je ręce czarowników. Trzeba zniszczyć całe zboże na polach oraz jego zapasy, bo posadziły je nieczyste dłonie. Trzeba zostawić kije kopieniacze w chatach i powstrzymać się od wychodzenia na pole. I trzeba czekać. Gdy dokonamy wszystkiego co potrzebne, nasi zmarli powstaną z grobów. Ich armia zepchnie do morza intruzów, którzy już nigdy więcej nie będą niepokoić naszego ludu. Nie musimy się martwić utratą pożywienia. Przodkowie przyprowadzą ze sobą nowe stada, o wiele dorodniejsze od tych które mamy. Przyniosą też nowe sadzonki zbóż, nieskażonych czarami. Szczęście już na zawsze zawita pod strzechy naszych chat.

Kim byli owi obcy, których należało zepchnąć do morza? To Anglicy, którzy w trybie imperialnej ekspansji konsekwentnie rozszerzali granice Kolonii Przylądkowej. W czasie akcji naszej opowieści dotknęły one właśnie granic domeny króla Sarili. Problem w tym, że jego poddani, którzy byli bardziej wędrownymi pasterzami niż rolnikami, parli na zachód, czyli w kierunku dokładnie przeciwnym temu, w którym posuwali się poddani królowej Wiktorii. Ci w serii kilku wojen osadzili na miejscu tych z przeciwnej strony, przy okazji zabierając im część pastwisk. Sarili miał prawo czuć się tym upokorzony.

Król chętnie uwierzył więc Mhlakazie, podobnie jak on wcześniej uwierzył Nong Kwawuse. W tym miejscu z całą pewnością kończy się legenda, a zaczyna historia. Twarde fakty, odnotowane na bieżąco przez dziejopisów. Bo władca rozkazał wszystkim poddanym,

by wypełnili orędzie przekazane im przez młodą prorokinię. Wszyscy zobowiązani byli zarządzić, co do jednej sztuki, całe swoje bydło i zniszczyć cały plon swoich pól. Co do jednego ziarna, co do jednej sadzonki. I nikt nie miał prawa się od tego obowiązku wykręcić.

Jak powiedział władca, tak zrobiono. Przez dziesięć następných miesięcy trwało wielkie zabijanie. Przez całe dziesięć miesięcy krajobraz południowego krańca Afryki znaczyły słupy dymów z podpalanych stosów ściętej kukurydzy. Podobnie przepadły wyrwane przedwcześnie z ziemi sadzonki manioku.

Czy Sarili musiał użyć masowego terroru, by wypełnić tak bezwzględne i okrutne postanowienie? Historykom nic o tym nie wiadomo. Owszem, niektórych trzeba było zmuszać, ale większość poddanych w fanatycznym zapale sama niszczyła to, co wcześniej wyprodukowała. Ludzie czekali na dzień wybawienia, a wiadomo że jeśli ktoś bardzo się uprze, wytrzyma nawet i ssanie w żołądku. Do czasu.

Nong Kwawuse zapowiedziała że dzień ten nadejdzie, kiedy wstające słońce przybierze kolor czerwony. I zanim zajdzie na zachodzie, nadejdzie z nieba wielki wir, niosący pioruny i nawałnicę, której mocy nikt z żywych dotąd nie doświadczył. Gdy burza ucichnie, będzie już po wszystkim. Biali ludzie przepadną w morskich odmętach, a po ziemi, prowadząc tabuny radośnie ryczących bawołów, kroczyć będą Przodkowie.

Nadworni wróżbici czy też astronomowie ogłosili, że dniem tym okaże się 18 lutego 1857. To już naprawdę niedługo. Można wytrzymać. Kilka tygodni samozaparcia, kiedy to niektórzy zjadali już ostatnie niezbędne zapasy, wynagrodzi im przecież stukrotnie niedaleka przyszłość.

Wyznaczonego dnia nic się nie stało. Osłabieni niedojadaniem ludzie zaczęli szemrać przeciw prorokini. A to nie podobało się królowi. Bo kto traci zaufanie do tego, komu zawierzył władca, szybko może zwrócić się przeciw samemu władcy. Sarili udał się więc do wioski, w której mieszkali Mhlakaza i Nong Kwawuse.

Gdy władca powrócił do stolicy, z precyzją doskonałej pamięci przekazał poddanym nowe wyjaśnienia, głosem do wcześniej wygłoszonego proroctwa. Otóż wszystko się zgadza i nie ma tu żadnej nieścisłości. Krwawiące słońce nie mogło wejść 18 lutego, gdyż ludzie nie wybili jeszcze całego bydła. Jeśli chce się wejść do krainy szczęścia, należy naprawdę przyłożyć się do wypełnienia proroctwa. I potem należy odczekać jeszcze osiem kolejnych dni. Ten dziesiąty będzie dniem zmartwychwstania Przodków.

Jak zareagował na te nowiny lud? Dość powiedzieć, że wiosna 1857 roku była okresem największej rzezi zwierząt. W sumie zaszlachtowano aż 400 tysięcy krów, cieląt i buhajów. A dzień wybawienia mimo to nie nadszedł.

Sprawa zrobiła się poważna. Nikt już nie pytał o interpretację proroctwa, bo ludzie umierający z głodu takich pytań nie zadają. A właśnie na wiosnę głód, chowający się dotąd po kątach pustych spichlerzy, uderzył



w poddanych króla Sarili z całą mocą. Jak szacują historycy, uśmiercił on wtedy jakieś 40 tysięcy osób. Drugie tyle, w rozpaczy poszukując czegokolwiek do zjedzenia, przekroczyło granicę białego wroga, by w farmach Kolonii Przylądkowej oddać się w niewolę jako najnędźniejsi z parobków, którym każe się tyrać za zruczone ze stołu ochłapy. Najwytrwalsi z nich dotarli aż do Kapsztadu, gdzie na ulicach tego miasta czarne, wychudłe jak szkielety dzieci, których rodzice padli po drodze z osłabienia, budziły litość dam i filantropów.

Kolonialni urzędnicy, których miała zepchnąć do morza armia zmartwychwstańców, teraz już bez przeszkód mogli się poruszać po pagórkach opustoszałej ziemi. I dokonali pierwszego w historii tego kraju spisu ludności. Okazało się że na miejscu pozostało zaledwie 27 tysięcy ludzi. Martwych Brytyjczycy nie liczyli.

Ale to jeszcze nie koniec niedoli, bo na pustych pastwiskach prędko pojawili się ludzie z odwiecznie wrogiego plemienia i zagarnęli dużą połać ziemi króla Sarili. Zrozpaczony, pozbawiony królestwa i większości poddanych władca, ze wstydu nie mogąc spojrzeć swoim ludziom w oczy, udał się na wygnanie.

Nong Kwawuse, ujętą przez jeszcze inne wrogie plemię i dostarczoną Anglikom, osadzono na farmie majora armii brytyjskiej. Z tego okresu pochodzi jej jedyna fotografia. Portret, który do dzisiaj doskonale znają wszyscy Khosa.

## Świątobliwi szaleńcy i kosztowne błędy

Gilbert Keith Chesterton powiedział kiedyś, że szaleńcem nie był bynajmniej ten, kto nakazał dziesiątkom tysięcy ludzi budowę piramidy. Naprawdę szalony jest ten, kto jej objętość próbuje wymierzyć w calach sześciennych. Ten aforyzm mógłby być uwieńczeniem powyższej opowieści. Prorokini albo prorok, który porywa za sobą naród będący w tarapatkach (a któż w nich nie jest?), to niustający refren historii człowieka. I nie zmienia tego stanu rzeczy fakt, że olbrzymia większość spośród tych prorocत्व się nie sprawdziła, zaś całkiem licznych z owych profetów dzieje zapamiętały jako proroków fałszywych. Ludzie nie chcą rezygnować z prawa do nadziei, nawet tej ślepej, podobnie jak niespecjalnie palą się do potępiania mylących się wieszczów. Cóż, każdy profesjonalista ma prawo do błędu. Także świątobliwi szaleńcy, choć w tym przypadku błąd kosztuje wyjątkowo drogo. Nie tyle ich, ile ich wyznawców. Ale to już wina nie pomysłodawców, lecz realizatorów.

Bo skąd bierze się ów błąd, jeśli nie z na chłódno wyskalowanej miary, w jaką kiepscy uczniowie natchnionych proroków próbują właczać rzeczywistość? Wszyscy zdajemy sobie sprawę, że im gorsza rzeczywistość zewnętrzna, tym bardziej wypada ją reformować. Ale już mało kto uświadamia sobie, że im gorsze wnętrze człowieka, tym mniej nadaje się on do reformowania tego, co na zewnątrz. Bo przypuszczony do naprawy świata, a nie naprawiwszy najprzód samego siebie, będzie formował ten świat takim, jakim jest on sam. Na własny obraz i podobieństwo. Paradoks polega więc

na tym, że najbardziej skłonni jesteśmy do naprawy doskwierającego nam otoczenia, gdy najmniej jesteśmy do tego przygotowani. Wiedzą o tym prorocy, gdy wzywają ludzi do naprawy obyczajów. Apelowali o to i Nong Kwawuse. Cóż z tego, gdy ich apel podejmują moiżni wykonawcy, którzy nie mają już w sobie cierpliwości świątobliwych ascetów. Im się spieszy, chcieliby naprawiać świat od razu – tak aby skutki owej naprawy były widoczne jeszcze za ich życia. I do realizacji tej wizji zapędzają sztafety wykonawców, partaczy którzy przeciw do tego dzieła nie są gotowi. A oni, ci partacze, czynią świat takim, jakim go widzimy.

**Żebyż jeszcze na początku tego szaleństwa stali jacyś prorocy! Nic z tego. Zamiast wielkiej idei widzimy tysiące mrówek, uwijających się wokół nas z ekierką i suwmiarką.**

Dopiero wtedy, na styku idei i jej realizacji, ujawnia się złowroga cecha utopii. Szalona myśl, sama w sobie, nie jest niczym niebezpiecznym. To nieunikniony produkt uboczny ludzkiej skłonności do poszukiwania. Na prawdziwe manowce prowadzi nas dopiero konsekwencja w jej wdrażaniu. Bo im bardziej odjechany od rzeczywistości model próbują realizować inżynierowie dusz (bardzo trafne określenie!), tym konsekwentniej powinni zmuszać do tego ludzi poddanych ich woli.

W przypadku Nong Kwawuse uderza właśnie konsekwencja, z którą jej współplemieńcy brnęli w wypełnianie jednego z najbardziej absurdalnych założeń, jakie znają dzieje. Bo ogołocenie siebie samego z wszystkiego, co pozwala na utrzymanie się przy życiu (a tak właśnie było w przypadku tych rolników i pasterzy) jest absurdem. Ale czy my, ludzie roku 2021, mamy prawo oceniać tamtych biedaków z pobłażliwą wyższością? Czy mniejszym absurdem – chociaż, póki co, nie grożącym nam głodową śmiercią – jest to, co na każdym kroku widzimy dookoła siebie? Nasi współcześni, kwestionując pojęcie płci i bezwzględnie egzekwując tę zmianę od nieprzekonanej reszty, uderzyli w to, w co dotąd nikt nie ośmielał się uderzać: w binarną strukturę ludzkiej wyobraźni o świecie. A także, co gorsza, w biegunową strukturę ludzkiego poczucia miłości i solidarności. Destrukcyjne skutki tego uderzenia widzimy (a przynajmniej widzą je niektórzy z nas) coraz wyraźniej z każdym mijającym rokiem, wręcz miesiącem. A mimo to, jako wspólnota brniemy w absurd coraz dalej.

Żebyż jeszcze na początku tego szaleństwa stali jacyś prorocy! Nic z tego. Zamiast wielkiej idei widzimy tysiące mrówek, uwijających się wokół nas z ekierką i suwmiarką.

## Czekając na zwrot akcji

W 1865 roku, po siedmiu latach wygnania wrócił na tron Sarili. W wojnach z sąsiadami zebrał do kupy większą

część utraconych ziem. Panował długo, jeszcze całe ćwierć wieku, próbując nawet tego, o czym marzył za pierwszego okresu swych rządów – skupienia pod jednym berłem wszystkich Khosa. Nie udało mu się, ale to już do naszej opowieści nie należy. Ważne, że był kochany przez poddanych, których po katastrofie demograficznej szybko zaczęło przybywać.

Jak możliwy był tak nieprawdopodobny sequel?

Wszystko za sprawą Nong Kwawuse, której fotografia rozchodziła się w tysiącach odbitek po całym kraju. Prorokini wytłumaczyła ludziom co się stało. Otóż niektórzy otwarcie sprzeciwili się nakazowi króla. A oceniając rzecz z dystansu - zdrowy rozsądek przeważył w nich nad poczuciem plemiennej lojalności. Jak w przypadku syna jednego z pomniejszych, wiernych Sariliemu wodzów, który to syn – jak sam powiedział – wolał zabić własnego ojca, aby nie musieć zabijać własnych królów. Nie było ich wielu, ale ich upór wystarczył, aby nie powiódł się plan, jaki Przodkowie zgotowali swojemu ludowi. Nong Kwawuse nazwała ich amagogotya, co jedni tłumaczą jako „niewierzący”, inni zaś jako „twardzi”, „nieuźyci” lub „skąpi”.

Ludzie dostali więc wyjaśnienie, jakiego w istocie pragnęli. To nie oni popełnili błąd. Winni są ci drudzy.

Podział na „niewierzących” i „wierzących” (amathamba może też znaczyć „miękczy”, ulegli wobec wspólnoty) okazał się zadziwiająco trwały. Gdy brytyjska kolonia w całości pochłonęła już ziemie króla Sarili, amagogotya – bardziej zaradni od reszty, ale też pokłóceni z większością – okazali się podporą władzy białych kolonizatorów. Nawet dzisiaj, po ponad stu latach, w czasie których przeminęło tak wiele, włącznie z kolonią oraz apartheidem, Khosa bez najmniejszego wahania potrafią wskazać, kto z nich jest amagogotya, kto zaś amathamba. Podział ten przechodzi nawet w poprzek społeczności zamieszkującej rodzinną wioskę prorokini. Spór nadal żyje własnym życiem, choć dziś nie ma już żadnego praktycznego znaczenia, o co wtedy poszło.

Nong Kwawuse zmarła w wieku 60 lat, otoczona wciąż wielbiących ją rodaków. Świąca ją pieśń śpiewana jest dziś w RPA jak hymn – w wyprostowanej postawie.

Dzisiaj ludzie zdrowego rozsądku są potrzebni światu bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Ale amagogotya, bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, potrzebni są inżynierom dusz. Bo współcześni utopiści – w odróżnieniu od swych antenatów z XIX i pierwszej połowy XX wieku – wiedzą że nie wygrają. Chyba ostatnim który w to wierzył, był Gramsci, ale nawet jego wizja zwycięstwa z grobu podejrzenie trąci bezsilnością millenaryzmu. Po nim przyszło wezwanie „odlećmy”, wiara w awatary i wirtualną rzeczywistość, wreszcie dogmaty kanonu płci społeczno-kulturowej. Wszystkie te modele są tak bardzo odklejone od rzeczywistości rzeczywistej, że niemożliwe do realizacji. I wszyscy w głębi duszy to wiedzą, włącznie z konstruktorami genderowej utopii.

Dlatego lewackim rewolucjonistom potrzebni są i będą ludzie, na których będzie można, aż do końca świata, zrzucić winę: popatrzcie, to przez nich nam się jeszcze nie udało. Współcześni utopiści, mimo pogrózek, nie poprowadzą finalnej wojny z „patriarchalnym” światem. Afroamerykanie, w imię BLM, mogą na jakiś czas zasiać anarchię w dużych miastach USA. Ci, którzy ich do tego namawiają z wygodnego i bezpiecznego dystansu uniwersyteckich pulpitów, nie zaryzykują jednak osobistej kariery i nie staną z nimi ramię w ramię, jak onegdaj Ukraińcy na Majdanie, by wspólnie ryzykując życiem walczyć o realnie nową Amerykę. Po adherentach tęczowej rewolucji, jak również entuzjastkach współczesnej odmiany ruchu wyzwolenia kobiet nie można się spodziewać nawet tego minimum. Ten kocioł można nieustannie doprowadzać do stanu bliskiego wrzeniu, ale broń Boże nie należy go przelewać. Bo wtedy za kije chwyci milcząca dotąd większość. A jest to większość, łagodnie mówiąc, znacząca. I co najważniejsze, ta większość, wierząc w biegunowy rozkład uczucia wzajemnej miłości, gwarantuje dalsze trwanie ludzkiego rodzaju.

To również jest jasne dla wszystkich, chociaż nie wszystkim wolno o tym mówić. Bo gdy wszyscy to zgodnie uznają, pryśnie wiara w amagogotya.

Z drugiej strony wiara w totalną wojnę jako remedium na lewicowe szaleństwo – byłaby kolejną utopią, kontrutopią w tym wypadku. Przecież ani ich nie przekonamy, ani też nie wybijemy, podobnie jak oni nas. Jednych i drugich jest na to po prostu zbyt wielu. Musimy koegzystować do końca świata, i dobrze byłoby już teraz się z tym pogodzić. Pozwómy żyć nawet szerszeniom, nie zbliżajmy się tylko do ich gniazda. Istotą jest marginalizacja, osiągnięta cierpliwym przekonywaniem tych, którzy dzisiaj są pod wpływem naszych ideowych przeciwników.

Zapewne lepiej by było, by to raczej nasi antagoniści, a nie my, stali się amagogotya w oczach ogółu. Jeżeli już nie można inaczej, jeśli wyposażeni w skażoną władzę poznawczą ludzie koniecznie muszą wskazywać innych jako przyczynę własnych niepowodzeń. Ale przecież nie takim chcielibyśmy oglądać świat. I wcale nie musi on tak wyglądać. Zdrowy rozsądek poddaje się stygmatyzacji tylko wtedy, gdy jego wyznawcy stanowią we wspólnocie niewielką mniejszość. Gdy stają się większością, zdrowy rozsądek broni się już sam.

#### JACEK BORKOWICZ

ur. 1957, eseista i publicysta, z wykształcenia historyk Kościoła, z zamiłowaniem badacz etnotopografii. W przeszłości redaktor w kilku polskich czasopiśmiech. Żonaty, ojciec czwórki dzieci, mieszka w Józefowie koło Warszawy.

# DZIECIĘCA CHOROBA OŚWIECONYCH. JAK URABIANA JEST PRZESZŁOŚĆ

WOJCIECH STANISŁAWSKI

**Historia, postrzegana jako bezustanne i niezmiennie pole opresji klasowej, kolonialnej, patriarchalnej lub genderowej, okazuje się po prostu przerażająco powtarzalna, jałowa i nudna. Pokłady ludzkich intencji, doznań, okoliczności, fortun i mobilizacji zamienią się w doskonale przewidywalny moralitet, niczym wyliczanka zjazdów partyjnych.**

Prezentyzm (przekonanie że istnienie objawia się wyłącznie w teraźniejszości. Potocznie skłonność do widzenia przeszłości przez jednowymiarowy pryzmat ocen chwili obecnej - przyp. red.) przez dekady nie był przedmiotem poważnej refleksji, polemiki ani badań. Trudno sobie nawet wyobrazić profesorów, dumnych ze swej orlej dalekowzroczności, władczo stąpających po parkietach rektoratów, którzy zajmowałiby się zjawiskami z obszaru humoru zeszytów szkolnych. A tak przecież jest z prezentyzmem. Na szpaltach wiecznie tych samych wypisów z milusińskich (pierwsze pytania, pierwsze wypracowania, pierwsze złudzenia) przekonanie, że za czasów rodziców nie istniały żadne telefony, lub że byli oni świadkami polowań na tury, płynnie sąsiaduje ze zdumieniem, iż obłączony w Alezji Wercyngetoryks nie ewakuował się helikopterem niczym Amerykaniec z Kabulu. Lub z oburzeniem, że jacyś szlachcice ośmielali się korzystać z owoców pańszczyzny.

Taki jest prezentyzm, młodszy brat anachronizmu, błyskotliwszy odeń i jednocześnie znacznie mniej sympatyczny. O ile bowiem anachronizm ma pucołowątą gębę zagapionego Jasia, który w wiecznym marzeniu

o godzinie spędzonej na rybach lub nad Tik-Tokiem beztrzesko myli epoki i technologie, prezentyzm okazuje się mieć trójkątny podbródek, świdrujące oczy i wieczną gotowość do oskarżania, pretensji i szantażunku. A wszystko to podszyte dyspozycją do łzawego zapewniania o własnej niewinności i krzywdzie. Paskudny typ, ten prezentyzm: osobowość *passive-aggressive*, zupełnie jak z podręcznika.

Raz i drugi udawało się go zaprząć do całkiem kreatywnej roboty. Wstrząśnięcia mieszczanami, ukazania głębokiej jedności natury ludzkiej w różnych wiekach, albo też zdemaskowania pozłotki, łuszczącej się na antycznych bohaterach. Wiadomo, „Piłat i inni” Wajdy, albo i to najdoskonalsze, bo zamknięte w kilku zdaniach, od których idzie mróz porażki wszelkiej tragedii: *Klitajmestra otwiera okno, przegląda się w szybie, by włożyć swój nowy kapelusz. Agamemnon jest w przedpokoju, zapala papierosa, czeka na żonę* („Brak węzła” Herberta). To jednak są gry i kalkulacje artystów; prezentyzm nie jest artystą, jest prokuratorem.

Przez lata nie przejmowano się nim, punktując jedynie od niechcienia co większe wpadki, w rodzaju zegarka na rękę Kleopatry lub legendarnej ciężarówki



Fot. Ehimetalor Akhere Unuabona on Unsplash

dostawczej, ku zgrozie Ulricha von Jungingena i Aleksandra Forda sunącej po szosie w tle bitwy pod Grunwaldem. Czasem tylko przyglądano im się nieco uważniej, z myślą o doskonaleniu nowych metod badawczych. Benjamin Schmidt, historyk z University of Washington, w 2013 r. wykorzystał nowy typ baz językowych, stworzonych przez Google i harwardzkie Cultural Observatory, by przeanalizować język filmu biograficznego o Lincolnie. Arcydzieło w reżyserii Spielberga zdobyło tuzin Oscarów i siedem Złotych Globów. Powszechnie chwalono je za perfekcyjne odmalowanie rzeczywistości z połowy XIX wieku, za wierność takim szczegółom, jak notowany przez pamiętnikarzy falset Lincolna czy charakterystyczne rysy drugoplanowych bohaterów. Schmidt jednak, analizując każde z kilkuset tysięcy słów użytych w scenariuszu, wskazał dziesiątki prezentyzmów językowych: „zapisywanie się” (*signing up*) do wojska pojawiło się jako termin dopiero w latach I wojny światowej, do czasów wojny burskiej angielszczyzna nie znała „snajperów” (*snipers*), lecz jedynie „strzelców wyborowych” (*sharpshooters*), zdumiewa też pojawienie się wśród żołnierzy „Kevina”, skoro akta wojsk Unii odnotowują zaledwie jednego walczącego o tym imieniu przez cały okres 1863-1865.

Schmidt, który na łamach *The Atlantic* kilkakrotnie recenzował filmy historyczne z użyciem metody lingwistycznej, nie robił tego zresztą z intencją wsadzania twórcom palca w oko - chciał raczej tylko obserwować, którędy i jak przesączają się do naszej świadomości niechciane prezentyzmy. Zauważył że najczęściej dzieje się to za sprawą ludzkich słabości poznawczych: brawury, nieuwagi, a przede wszystkim łatwości, z jaką nawet erudytom i badaczom zdarza się wierzyć, że „tak było zawsze” i sklejać, często nieświadomie, różne epoki. Stąd w filmie „rozmowy pokojowe” (*peace talks*), które - jak dowiódł Schmidt, przestudiowawszy 3.700 stron tytułowych gazet z lat wojny secesyjnej i dziesięć razy tyle prasy późniejszej - zrobiły karierę za sprawą Wietnamu, OWP oraz IRA. W czasach generała Shermana mówiono i pisano o „propozycjach pokojowych” (*peace propositions*) lub „negocjacjach”.

## Uaktualnianie przeszłości

Rok 2013: osiem lat temu – a jakby osiemdziesiąt. Komu przyszłoby dziś do głowy analizować terminologię negocjacji z lat wojny secesyjnej? Od tego czasu głos sceptyków, apelujących by odchodzić od oleodrukowych, „realistycznych” ujęć historii, rozbrzmiewał coraz głośniej. Nieraz zresztą miało to sens, rzeczywiście Mistrz Matejko nie musi być ostatnim słowem w malarstwie (choć fantastycznie buduje naszą wyobraźnię historyczną), podobnie jak ma sens (czasem) podejmowanie gry z wizerunkami przeszłości. Rozumiem przeniesienie „Ryszarda III” w realia lat trzydziestych XX wieku przez Richarda Loncraine (1995), rozumiem kreowanie Liszta

na rockmana przez Kena Russella („Lisztomania”, 1975). Ba, rozumiem nawet trampki Marii Antoniny („Marie Antoinette” Sofii Coppola z 2006), choć wydaje mi się to dość topornym sposobem na pokazanie niedojrzałości czternastoletniej królowej. Co więcej, gotów jestem przyjąć argumenty na obronę miniseriału o Annie Boleyn, który tak wstrząsnął zachowawczą częścią opinii publicznej. Oczywiście, czarnoskóra córka Thomasa, pierwszego earla Wiltshire, na XVI-wiecznym europejskim tronie - to absurd. Jeśli jednak uznamy tę decyzję obsadową nie za zamiar „wiernego oddania przeszłości”, lecz zabieg mający podkreślić wyobcowanie osamotnionej, zaszczuwanej królowej, to ma ona sens - choć w oczywisty sposób podszyty koniunkturalizmem i obliczony na pozyskanie opiniotwórczych krytyków.

Prezentyzm współczesny jest jednak groźny nie ze względu na pojedyncze eksperymenty artystyczne, lecz na intencję całkowitej zmiany wizerunku przeszłości, poprzez rzutowanie wstecz całkowicie współczesnych kategorii i standardów, a w konsekwencji „tłumaczenie” jej siłami i relacjami, które w rzeczywistości nie miały (w opisywanym czasie) znaczenia lub miały znaczenie marginalne.

Dyżurne skojarzenie, jakie pojawia się w świadomości komentatorów, to oczywiście Orwell.

■ **Ten proces wprowadzania ciągłych zmian odbywał się nie tylko w wypadku gazet, lecz także książek, czasopism, plakatów, ulotek, filmów, nagrań, rysunków, fotografii – każdego typu literatury i dokumentacji o jakimkolwiek znaczeniu politycznym lub ideologicznym. Z dnia na dzień i niemal z minuty na minutę uaktualniano przeszłość. Tak preparowana dokumentacja potwierdzała słuszność każdej partyjnej prognozy; pilnowano, by nie ostało się choć jedno zdanie sprzeczne z potrzebą chwili. Całą historię przemieniano w palimpsest, zeskrobywany i zapisywany tak często, jak to uważano za konieczne – głosi cytowane co i raz mroczne proroctwo z „Roku 1984”.**

Skojarzenie to nie jest do końca chybione, chociaż słyszac podobne cytaty, entuzjaści inkluzywności, zacierania granic i akcji afirmatywnej wybuchają śmiechem,

dopytując o łagry na Alasce oraz tortury, jakim poddawani są współcześni konserwatyści. Warto mieć na względzie ich rozbawienie, jak i fakt, że cierpiętnictwo jest rzeczywiście jednym z najpewniejszych sposobów na osłabienie wizerunku. Nie, nie należy stroić się w błądą skórę Winstona Smitha: łagry to ciągle specjalność Pekinu, nie Nowego Jorku, zwycięski obóz postępu skazuje raczej na utratę pracy na uczelni i konta społecznościowego niż standardową dychę i piątkę na przytarcie rogów; nie jest to mało, ale warto zachować miarę. Również, jeśli idzie o skalę orwellowskiego przetwarzania przeszłości: jak dotąd, gra toczy się o wizerunki w przestrzeni publicznej (pomniki, freski, filmy), o „dominację symboliczną”, nie o zbiory tekstów źródłowych i zawartość archiwów.

A przecież nie jest to mało: w apogeum ruchu Black Lives Matter zmieciono praktycznie wszystkie z kilkuset pomników oraz *panneau* żołnierzy i dowódców, którzy mieli nieszczęście walczyć po stronie Konfederacji (nawet jeśli, przeżywszy, latami służyli następnie Stanom Zjednoczonym). To posunięcia bardzo znaczące, zarówno dla stosunkowo wąskiego grona potomków „wymazanych” bohaterów, jak i dla publicznych wyobrażeń, dla których wizerunki owe są często oparciem i umocnieniem.

Znacznie groźniejsze są jednak, wspomniane już powyżej, całościowe interpretacje przeszłości, szczególnie o charakterze akademickim lub podręcznikowym, jak również przekładanie ich na język narracji lepiej przyswajalnych: seriali, powieści lub komiksów. Najgłośniejszym przykładem takiej aktywności pozostaje pewnie do dziś „The 1619 Project”, zapoczątkowany na łamach *New York Timesa* przez jego dziennikarkę Nicolę Sheri Hannah-Jones i rozwijający się do dziś. Redaktor/ka Jones postanowiła opowiedzieć historię USA przez pryzmat niewolnictwa i permanentnie obecnego (jej zdaniem) w tej historii rasizmu. Wątlým, lecz wymownym odpowiednikiem tej postawy w debatach polskich jest, obecne w różnych nurtach i na różnych poziomach debaty, potępienie zjawiska pańszczyzny – i uczynienie skandalu, jakim była, osiowym problemem historii Polski. A zarazem, jak pokazało kilka polemik na łamach *Gazety Wyborczej*, doskonałym narzędziem personalnych ataków na współczesnych potomków dawnej szlachty.

## **Stręceni ze słodkiego tronu kolan**

Problemem nie jest anachronizm. Nie jest nim także dostrzeganie w niezwykle skomplikowanej mechanice przeszłości niedostrzeganych dotąd sił i elementów, które kształtowały rzeczywistość. W wieku XIX, złotym wieku historiografii, cenne były zarówno podobne spostrzeżenia o charakterze „lokalnym”, dotyczące wycinka dziejów (klasyczny przykład to hipoteza o akweduktach wyłożonych ołowiem jako prawdziwej przyczynie upadku Rzymu), jak również globalnym. To wielka rzecz: zwrot od „dziejów książąt i królów” do historiografii uwzględniającej zmienne gospodarcze,

demograficzne, socjologiczne, klimatologiczne, ba – dostrzegającej obecność wielkich grup ludzkich połączonych jednakową kondycją socjoekonomiczną i zdających sobie z tej więzi sprawę. Tak, myślę o marksizmie – ale też o tym, że fraza „kto za młodu nie był socjalistą...” jest równie zgrana, co fałszywa, zaś historyk, który nie przyswoił zdolności dostrzegania „klas” i grup interesów, czasem dość niejawnych, daleko nie zajdzie. Ale znowu problem leży nie w samym marksizmie, lecz w jego uniwersalizacji i absolutyzacji. W tłumaczeniu wszelkich ludzkich działań i inicjatyw „interese klasowym”, w przekonaniu, że w przeszłości interes ten był on równie łatwy do wskazania i przypisania, co w czasach narodzin wielkiego przemysłu, wreszcie - w projektowaniu w epokę „helleńską rzymską średniowieczną” żargonu agitatora, „samogonnego Mefisto”.

Podobnie dzieje się z dzisiejszymi rewolucjami historiograficznymi. Odnotowywanie – wśród setek sprężyn poruszających ludzkie losy, również tych związanych z upokorzeniami i urazami, jakie powodowały niewolnictwo czy pańszczyzna – dyskomfortu, albo też „klanowej” solidarności osób homoseksualnych czy niebinarnych, to oczywistość, praktykowana od lat przez historiografów. Uznanie podobnych emocji za główną siłę napędową historii, poprzez ukazanie np. wojny peloponeskiej jako agresji homofobicznych Aten przeciw praktykującej jedнопłciowe związku hoplitów Sparcie, lub Rzeczypospolitej XVI wieku jako przestrzeni triumfu patriarchy i wyzysku, wreszcie redukcja przyjaźni „Zośki” i „Rudego” do fascynacji homoerotycznej – to prosta droga do samooszukiwania.

Jeśli takie całościowe, redukcjonistyczne interpretacje zdominują przekaz o przeszłości, zaniknie potrzeba poznawania dzieł apokaliptycznych, w rodzaju orwellowskiego opisu fałszowania źródeł. Skany pergaminów i gazet będą mogły bezpiecznie spoczywać na serwerach: kto po nie sięgnie? Funkcjonujący społecznie obraz historii budowany jest obecnie w oparciu o edukację, przekaz rodzinny i popkulturę, oczywiście z rosnącym udziałem tej pierwszej. Zarówno jawne, programowe treści edukacyjne, jak na poły ukryte narracje popkultury – przy odpowiedniej dawce kontroli politycznej – da się wpoić ludziom dość łatwo. Przeszkodą może być środkowe ogniwo, tj. narracje rodzinne. Osłabić je można bądź nadwątłając znaczenie rodziny jako wspólnoty, bądź po prostu odczekując jedno pokolenie. Jeśli dzisiejsi rodzice nie zrobią jeszcze odpowiednio swoich dzieci, z pewnością dzisiejsze dzieci nie będą w stanie stawiać barier w obliczu urabiania ich potomstwa. Oczywiście najlepsza jest kombinacja obu tych czynników. A wówczas archiwa będą bezpieczne. Bo w rzeczy samej wspomniany element orwellowskiej wizji, tak przemawiający do wyobraźni, jest odbiegającą od rzeczywistości

szarżą: reżimy, które „Rok 1984” parafrazował lub zapowiadał, traktują archiwa jako skarb, obstalowując tylko na masową skalę pieczęć „chronić wiecznie”. Prawdziwą zmienną i narzędziem władzy, która chce zapanować nad przeszłością, jest dostępność źródeł, nie zaś ich fizyczna egzystencja.

Prezentyzm oświeconych, który w ostatnich kilku latach tak często dochodzi do głosu, nie płynie z rozczulającej ignorancji, jak to się dzieje u milusińskich. Różne może mieć źródła. U jednych – wyschnięcie pępownicy, zerwanie poczucia ciągłości. Nie nam dochodzić, czy wzięte z traum rodzinnych. Wnuki Zagłady? Ależ nie, co za żenujący klucz! Równie dobrze mogą to być *survivors* koszmarnych wypadków samochodowych, złych rozwodów, ostatni jedynacy-single z kwaśnych, nuklearnych rodzin, lub zgorzkniałe córki matek z Alzheimerem. Więc może to zerwanie wynika po prostu z większej biodynamiki życia: jak długo można przeżuwać słodki chmiel dzieciństwa? Wspólne tym wszystkim potencjalnym przyczynom jest zwierzenie gniazda, ostateczne pogruchoćanie „słodkiego tronu kolan”. Rodzice – w pajęczynach żalów i nierozliczonych pretensji, dziadkowie – dobrzy na mem, nie więcej, pradziadkowie są w najlepszym razie przydatnym, suchym szczębłem odpowiednio nieortodoksyjnej drabiny genealogicznej, szczególnie, jeśli można zaświecić w oczy sztetem albo czworakami. Brak tu jednak samego doznania zakorzenienia, miąższości, więzi na tyle silnej, że zakładającej rodzaj lojalności wobec przeszłych pokoleń. Nie dojdziemy w tym krótkim tekście, czemu ta więź utrzymuje się tylko w niektórych przypadkach. Pewne jest, że immunizuje ona na prezentyzm, jak również jednak to, że do jej utrzymania nie wystarczy przysłowiowa cukiernica, ocalona z Powstania. Choćby miała najwdzięczniejsze proporcje nągaru i pozłoty.

## Skąd wziąć wstrząs?

Zostawmy więzi rodzinne, to rzecz delikatna. Idzie, najogólniej, o zakorzenienie, które niekoniecznie opłacać się musi wokół portreciku prababki. Prezentyści mogą znać źródła, być świadomi wielości odcieni relacji międzyludzkich, nacytani o etosie Szarych Szeregów czy „szczególnym typie więzi, łączącej drobnego właściciela ziemskiego z jego poddanymi, rodziną, krajobrazem i gruntami” – ale i tak wszystko to rozmywa się w rentgenowskich promieniach abstrakcji.

To już opisano, nieźle. *Z drzew, polnych kamieni, nawet cytryn na stole/ Uciekła materialność i widmo ich/ Okazywało się pustką, dymem na kliszy* („Oeconomia divina” Miłosza). A ten, który to opisał w „Gdzie słońce wschodzi i kędy zapada”, zmagając się z tą niechcianą władzą „prześwietlającego spojrzenia”, przez całe dorosłe życie, o czymś świadczyć choćby ten fragment z wcześniejszego o 30 lat „Zdobycia władzy”:

*Szczegół. W drodze do Julii. Grube mury, siwy cień. Gęste wino, w nim okno. Na stole z wytartego drzewa gliniany dzban, chleb, rodzina przy kolacji. Za nimi otwarte drzwi, stamtąd jaskrawe światło. W półmroku wino w szklankach, od światła rubinowe. Ręce na stole, nagie, dotykaność, okrągłość mocnego ludzkiego ciała. Szyje. (...).*

*Nic nie można wyrazić inaczej niż poprzez szczegół. Kiedy jest szczegół, trzeba odkryć szczegół szczegółu. Ta włoska rodzina; ale same szklanki i ręce, i każda twarz, i miedziane rondle: nieskończoność barwy i kształtu. Jednak szczegół nic nie znaczy, jeżeli jest zmieniony tylko na barwę i kształt, kiedy nie czuć, że jest tylko szczegółem. (...) Być tam, gdzie jest najmniej abstrakcji, najwięcej szczegółu. Życie ludzi rozłożone nierówno. Dla jednych ta sama przestrzeń wypełniona tysiącami szczegółów, odcieni, połysków, inni mówią: morze, ziemia, kolacja i to wszystko. Moja zatoka abstrakcyjna. Nie wiedziałem, jak trzeba patrzeć. Można nauczyć się tylko, jeżeli ludzie mają drobne sprzęty, obyczaje, nagromadzone stulecia, stare mury.*

Chorobą prezentystów jest alienacja: rozgorączkowany, rozjątrzeni, nie widzą ziemi, siwego cienia muru, stołu z wytartego drzewa; jeżeli dostrzegają szyje, to jako dogodny cel dla (wirtualnego, jak przystało na spokojne czasy) sznura lub ostrza. Że jest ratunek, wiemy od Miłosza: można go znaleźć w La Combe, w Mittelbergheim, w paryskim metrze, na łąkach koło Puy-brun – wszędzie tam, gdzie rozpościera się „ziemia, dostateczna, bo wyposażona we wszystko, co nam jest potrzebne do codziennego podziwu”, wino, które „śpi w beczkach z dębu nadreńskiego”.

Wchłonąć tę twarz, ale mieć ją na tle wszystkich gałęzi wiosennych, murów, fal, w płaczu, w śmiechu. Pytanie, na które nie znam odpowiedzi: skąd wziąć wstrząs (szczególnie, kiedy nie mamy pod ręką wstrzymującego paszport Putramenta), który skłoni ich, by opuścili rozpalone abstrakcją powieki. Dotknęli wytartego drzewa. Odpoczęli po biegu. Jeśli tego nie zrobią, czekają nas dekady jałowości. Historia, postrzegana jako bezustanne i niezmiennie pole opresji klasowej, kolonialnej, patriarchalnej lub genderowej, okazuje się po prostu przerażająco powtarzalna, jałowa i nudna. Pokłady ludzkich intencji, doznań, okoliczności, fortun i mobilizacji zamieniają się w doskonale przewidywalny moralitet, niczym wyliczanka zjazdów partyjnych w „Historii Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików)”, lub gra w kółko i krzyżyk na siatce nie 3 x 3, lecz 2 x 2, w której zawsze wygrać będzie ten, do kogo należeć będzie pierwszy ruch. Cztery nogi dobre, dwie nogi złe. Czarne dobre, białe złe, kobiece dobre, męskie złe, afrykańskie dobre, europejskie złe. Beee...



© Jacob van Ruisdael, commons.wikimedia.org

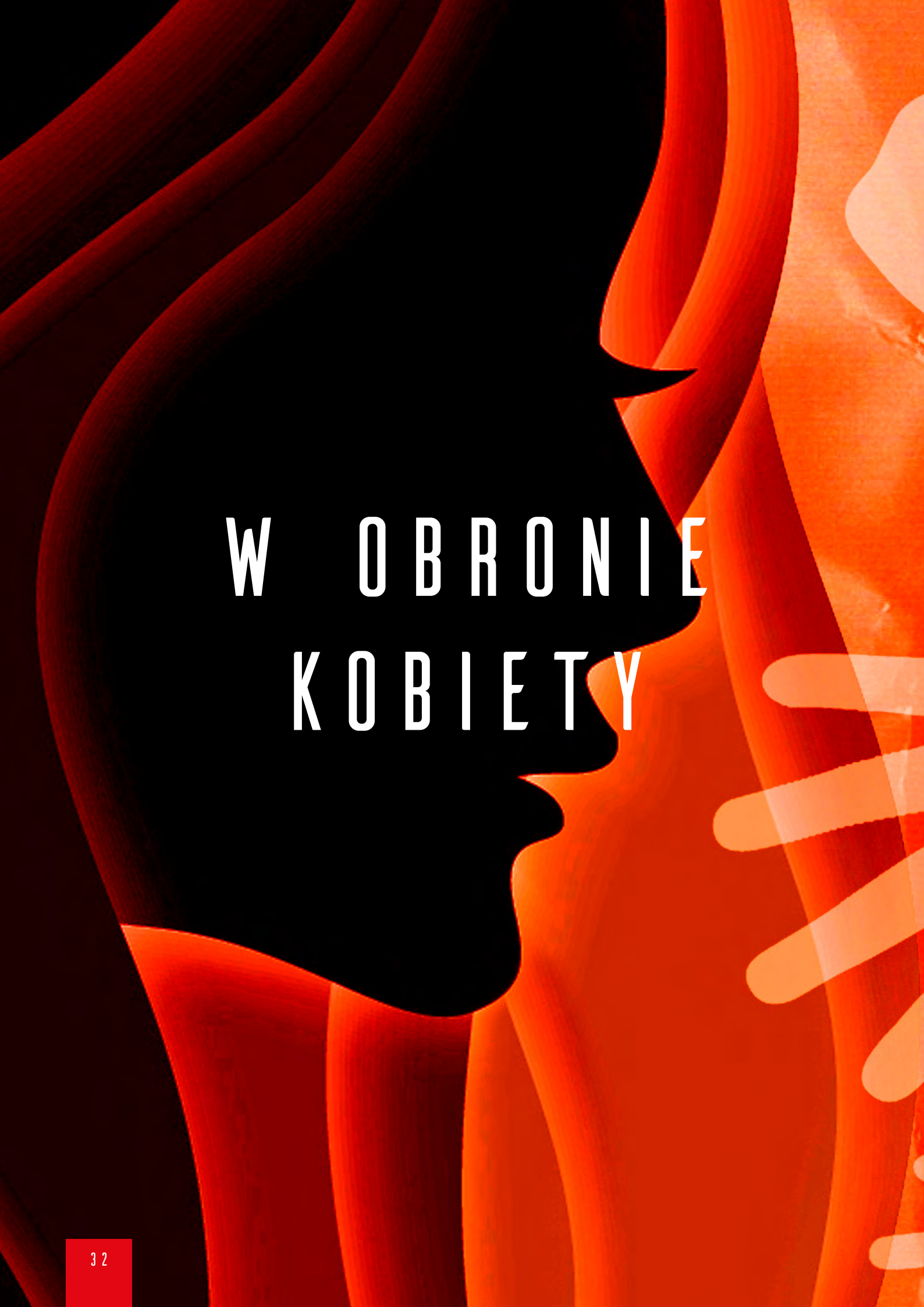
*Zajrzała mu przez ramię,  
Spodziewając się sadów i winnic,  
Marmuru dostatnich miast,  
Mórz i żaglowców zwinnych,  
Lecz on wykuł w lśniąącym metalu  
Zamiast przychylnych żywiołów  
Pejzaż sztucznego pustkowiecia  
Z niebem jak ołów.*

Tako rzeczce Wystan Hugh Auden (w przekładzie Barańczaka). Ten sam, który przestrzega nas przed losem Anonimowego Obywatela (JS/07/M/376):

**Czy był wolny? Czy był szczęśliwy?  
Pytanie dowodzi głupoty:  
Jeśli by było coś nie tak, z pewnością  
wiedziانو by o tym.**

**WOJCIECH STANISŁAWSKI**

doktor nauk humanistycznych, historyk, publicysta, kurator w Muzeum Historii Polski, stały współpracownik m.in. „Teologii Politycznej” i programu „Sądy Przesądy”, juror Fundacji Identitas. Entuzjasta i melancholik, stara się przyglądać w bibliotekach losom „białej” emigracji rosyjskiej, Bałkanów, Europy Środkowej i literatury polskiej, co w przypadku rodziny wielodzietnej bywa wyzwaniem. Bicyklista.



W OBRONIE  
KOBIECY







# ABORCJA. MOJE PIEKŁO

O aborcyjnym przemyśle i postaborcyjnej rzeczywistości  
opowiada **Amélie Desrumeaux**

**J**estem Polką mieszkającą we Francji. Gdy jesienią ubiegłego roku współzакładałam w mojej parafii grupę pro life „Accueillir la vie” (Przyjąć życie), w Polsce wybuchły właśnie protesty przeciw wyrokowi Trybunału Konstytucyjnego. Zrozumiałam wtedy, jak bardzo zaburzony obraz spraw mamy w kraju. Wiele osób - pomijając nawet moralny osąd samego czynu – przekonanych jest, że w kwestii dostępu do aborcji chodzi o wolność wyboru, bo przecież nikt nikogo nie będzie do niej zmuszał. Tymczasem to, czego się dowiedziałam o realnym życiu Francuzek, które przez aborcję przeszły, uświadomiło mi, jak ten „wybór”

działa w praktyce i jak wiele cierpienia powoduje. Poprosiłam więc przyjaciół z ruchu „pro life” o kontakt z którąś z kobiet, jakim pomagają. Moją rozmówczynię poznałam podczas czatu wideo, w takim też trybie nagryłam ten wywiad. Zofia François

► **Amélie Desrumeaux:** Miałam wtedy dwadzieścia lat. Mój chłopak nie chciał dziecka, nawet nie chciał słyszeć o tej ciąży. A ja byłam w nim zakochana, byliśmy razem już od sześciu lat, ufałam mu. Nalegał, więc umówiłam się na spotkanie w *planning familial*. Stamtąd wystali mnie do poradni psychologicznej, bo wtedy jeszcze

uprzednia wizyta u psychologa była obowiązkowa. Pani doktor miała gabinet po drugiej stronie ulicy. Rozmowa wyglądała następująco: „Chce pani przerwać ciążę? - Tak. - Czy w pani rodzinie wszystko jest w porządku? - Tak. - W takim razie może pani przerwać ciążę”. To naprawdę trwało tylko chwilę. Potem wróciłam do *planning familial*. W małej salce położyli przede mną papiery, tabletki i szklankę wody, ale ja się jeszcze wahałam.

▶ **Zaraz, to nie działo się w klinice?**

▶ Nie, w punkcie *planning familial*, gdzie także dokonuje się aborcji, tyle że nie chirurgicznych, jak w szpitalu, ale farmakologicznych. Siedziałam więc tam na krzeselku i zastanawiałam się: zrobić to czy nie? Ale na stawianie sobie pytań nie było czasu, gdyż popędziła mnie pielęgniarka.

▶ **Nie zauważyła wahania?**

▶ Przeciwnie, złażała mnie: „Nad czym się pani zastanawia? Proszę się pospieszyć, mam inne rzeczy do zrobienia”. Widać było dla niej oczywiste, że skoro tu przyszedłam, już podjęłam decyzję. Nieodwołalną.

▶ **Jak to, poradnia planowania rodziny od razu zakwalifikowała panią do aborcji? I to wykonanej na miejscu?**

▶ Poszłam do *planning familial* bo myślałam, że dowiem się u nich jak wychować dziecko, gdyby się okazało że zostanę sama. A właśnie tam mi powiedzieli: „Pani nie może zachować tego dziecka, potrzebna będzie aborcja”. Ja nawet nie próbowałam sobie wyobrazić, że ktoś wkłada mi do ciała jakieś narzędzia, ale oni mnie uspokoiłi: „Dzisiaj wygląda to inaczej, mamy pigułki”. Wtedy pomyślałam: może tak będzie lepiej?

▶ **Więc zdawała sobie pani sprawę, że nie jest to rzecz moralnie obojętna?**

▶ Tak, ale spozrzałam na to jak na mniejsze zło.

▶ **A skąd pani wiedziała że aborcja jest rzeczą złą?**

▶ Wiedziałam już o tym gdy chodziłam do *collège*. To było gimnazjum katolickie, ale tam w ogóle się o tym nie mówiło. To znaczy... Wiedziałam już co nieco o istnieniu pigułek, antykoncepcji – lecz o aborcji, poza samą nazwą, praktycznie nic. I w pewnym momencie problem pojawił się samoistnie, kiedy to jedna z uczennic usnęła ciążę za pomocą drutów do dziergania.

▶ **Nie poszła pani do *planning familial* z wyraźnym postanowieniem aborcji?**

▶ Nie, zrobiłam ten krok z powodu nacisku ze strony ojca dziecka, które w sobie nosiłam. Ale gdy tam przedstawili mi argumenty przemawiające za aborcją, zaczęłam się wahać. A może jednak? Nie mówiono mi o efektach ubocznych tabletki RU486. Powiedziano mi o tym, jako o cudownym rozwiązaniu w trzech tabletkach, które usuną problem. A jak już połknęłam te tabletki, to się stało bardzo szybko. Już w drodze powrotnej źle się poczułam. Dojechałam do domu mojego chłopaka, żeby zostawić u niego samochód. Usiadłam

przed telewizorem i wtedy poczułam że coś się ze mnie wyślizguje. Wzięłam flakonik, który wcześniej dostałam i poszłam do toalety. Pamiętam tylko dwa czarne punkciki, które zapewne miały być kiedyś oczami.

W poniedziałek pojechałam do *planning familial* i dałam ten flakonik pielęgniarce. Powiedziałam: „To chyba płód”, a ona zaśmiała mi się w twarz: „To nie żaden płód, tylko zlepek komórek. Chce pani żebym to wyrzuciła do kosza?” A ja... jesteśmy w szaleństwie akcji, to się dzieje tak szybko... powiedziałam: tak.

▶ **Powiedziała pani pielęgniarce by wyrzuciła martwe dziecko do kosza?**

▶ Ale ja w tym momencie nie potrafiłam myśleć logicznie! Jedyłą refleksją było pytanie: chyba nie wezmę tego do domu i nie postawię na kominku? Nawet nie przyszło mi do głowy że mogłabym je pochować. Dzisiaj żałuję, ale to wszystko działo się bardzo, bardzo szybko...

▶ **Nikt nie przedstawił pani możliwości wyboru?**

▶ To właśnie próbuję pani wytłumaczyć. Niczego nie proponują. To jest maszyna do mielenia. A tak bym chciała, żeby mi wtedy powiedzieli: może pani zachować ciało, możemy pani zaproponować mały pogrzeb, nie wiem... Ale wtedy sobie tego nie wyobrażałam. I wiem, że większość kobiet w podobnej sytuacji reaguje tak samo. Nie ma informacji. We Francji mamy właśnie ten problem, że nie ma informacji. Ani co do samej aborcji, ani co do jej konsekwencji.

▶ **Co działo się potem?**

▶ To było... Nie miałam żadnej traumy fizycznej – tylko trzy tabletki do wzięcia, to wszystko. Ale najgorsze dopiero nadeszło. Każdego wieczoru, kiedy chłopak odprowadzał mnie do domu, krzyczałam, właściwie wrzeszczałam: „Zostań! Potrzebuję rozmawiać, czuję że zrobiliśmy coś, czego nie powinniśmy byli zrobić. To był owoc naszej miłości. Zrobiliśmy wielkie głupstwo.” A on ciągle odpowiadał: „Nie chcę o tym słyszeć”. Więc każdego wieczoru, kiedy mnie odprowadzał, wiedziałam że będę miała noc jak z horroru. Za każdym razem, gdy kładłam się na łóżku, sufit stawał się ekranem moich bezsennych nocy. Za każdym razem wracała scena, w której siedzę przed stołem z trzema tabletkami i zamiast je połknąć, zrywam się na nogi i krzyczę do pielęgniarki: „Nie! Ja to dziecko zachowam!” I płakałam, płakałam, płakałam... Trwało to rok, aż do pewnego wieczoru, kiedy wzięłam nóż i postanowiłam z tym skończyć. To była druga, trzecia w nocy. I gdy miałam już ostrze przy sercu, zadzwonił telefon. Mój przyjaciel zapytał: „Amelie, coś jest nie tak?” Odpowiedziałam: „Tak, jest źle”. Wybuchłam płaczem i on natychmiast przyjechał.

▶ **Chłopak pani nie wspierał?**

▶ On się tym w ogóle nie zajmował. Kiedy powiedziałam mu „myślę że zrobiliśmy straszne głupstwo”, on mi odpowiedział “nie chcę więcej o tym słyszeć ani rozmawiać”. I później nigdy nie wrócił do tematu. Wreszcie się rozstaliśmy i temat się skończył.

► **Można uznać, że aborcja zniszczyła wasze wzajemne uczucia.**

► Tak. Swoją drogą, kiedy rozmawiam z dziewczętami, które są po aborcji, okazuje się, że po tym doświadczeniu rozpada się jakieś 90 procent związków. Bardzo rzadko para zostaje razem.

► **Tamta krytyczna noc okazała się przełomem?**

► Tak, bo wtedy powiedziałam sobie: trzeba żebym coś z tym zrobiła. Zaczęłam szukać pomocy. Ale gdy poszłam raz jeszcze do *planning familial* i powiedziałam, że cierpię, usłyszałam: „To nieprawda. Pani nie cierpi”. Pani potrzebuje psychologa”. We Francji istnieje zmowa milczenia na temat aborcji, która w oficjalnym przekazie nie powoduje żadnego cierpienia. Więc oczywiście to nie oni mi pomogli.

► **Nie zrozumiałam kto tak pani mówił. Ginekolog?**

► Konsultantka w *planning familial*. Wygarnęłam jej wtedy: „To wy mnie popchnęliście do aborcji! Teraz nie mogę spać, mam koszmary... Nie dajcie mi wyboru!”

► **Kto w takim razie pani pomógł?**

► Pomoc znalazłam w stowarzyszeniach „Matka Miłosierdzia”, „Agapa” i „Winnica Racheli”. Aktualnie we Francji są tylko trzy stowarzyszenia, które pomagają kobietom po aborcji przekroczyć własne cierpienia. I akurat te trzy stowarzyszenia są katolickie.

► **Jak tam pani trafiła?**

► Niedaleko mojego domu zobaczyłam w oknie plakat „Matka Miłosierdzia” i poszłam spotkać tych ludzi. Tam zaproponowano mi tygodniowe rekolekcje. Oni to nazywają „Stabat Mater”. Nie był to łatwy tydzień, ale pozwolił mi świadomie przeżyć tę żałobę. Po dziecku, z którym nawet nie wiem co się stało. Potem wybrałam się na pielgrzymkę, tam poszłam do spowiedzi i to dało mi pokój.

► **Proszę powiedzieć więcej o tych rekolekcjach.**

► Trudno o tym opowiadać. Zapalałam świece przed ołtarzem i miałam poczucie, że uczestniczę w ceremonii religijnej. We Francji nawet niewierzący, gdy chcą kogoś pochować, w tym jednym momencie stykają się z Kościołem. A ja nie miałam pogrzebu własnego dziecka. Dopiero wtedy, podczas tych rekolekcji, w pełni uświadomiłam sobie, jak bardzo cięży mi ten brak. Więc to było jakby zadośćuczynienie. Ta świadomość trochę goi rany.

► **Czy w tych stowarzyszeniach może znaleźć pomoc kobieta, która nie jest katoliczką?**

► Oczywiście! Na przykład „Agapa” stosuje model pomocy religijnie neutralnej. To bardziej porada psychologiczna, a także towarzyszenie osobie cierpiącej. Z kolei „Matka Miłosierdzia” zajmuje się także doradztwem dziewczętom, które się wahają czy dokonać aborcji. Oni ich nie zniechęcają, tylko pomagają zrozumieć, czego same tak naprawdę chcą.

© Silar, commons.wikimedia.org



Ale jak by im nie pomagać, zranione kobiety nigdy się z tego do końca nie leczą. Czasem mówią, że się czują dobrze, ale to powraca, nawet po czterdziestu latach – kobieta wybuchła płaczem myśląc o dziecku. Są cierpienia, które się pojawiają od razu i są cierpienia ukryte.

### ► **Co było dalej?**

Postanowiłam sama pomagać. Od tamtej pory pomagam wszystkim kobietom, które spotykam, a które zadają sobie pytanie, czy chcą przerwać ciążę. A także wszystkim, które to zrobiły i teraz żałują.

Kiedyś marzyłam by wszystkie kobiety, które cierpią, wyszły na ulice. Żeby pokazać jak wiele nas jest. I że milczenie zabija. Teraz coś takiego już istnieje, to znaczy jest strona na Facebooku, gdzie te kobiety mogą się wypowiedzieć. Nazywa się „Aborcja – wciąż cierpię – chcę o tym zaświadczyć”. Są tam kobiety w każdym wieku – młode, starsze – i opowiadają jak to się stało. Stale przybywają nowe świadectwa. Problem stał się przynajmniej widoczny. Teraz, gdy ktoś powie „problem nie istnieje”, odpowiadam: proszę wejść na stronę „Aborcja – wciąż cierpię”.

### ► **Często słyszy pani, że „problem nie istnieje”?**

► Bardzo często. Kiedy poszłam do *planning familial* z ulotkami mojego stowarzyszenia, oni odmówili ich przyjęcia. Gdy ostrzegłam ich: „Czy zdajecie sobie sprawę, że narażacie młode kobiety nie uprzedzając ich o psychicznych skutkach aborcji?”, oni mi odpowiedzieli: „To nie jest nasz problem. Nie będziemy rozdawać pani ulotek”.

Inny przykład. Pracowałam w katolickiej szkole, gdzie nauczycielka SVT mówiła uczniom, że aborcja to prawo człowieka i w ogóle wspaniałe osiągnięcie. Na to jedna z uczennic powiedziała, że się z tym nie zgadza. Dobrze pamiętam jak ta nauczycielka wpadła zirytowana do pokoju nauczycielskiego: „Jak to jest dzisiaj możliwe, żeby być przeciw aborcji? Przecież nie żyjemy w jakimś zacofanym kraju!” Dzisiaj we francuskich szkołach kursy edukacji seksualnej są już w czwartej klasie. Na własne oczy widziałam jak uczniowie na lekcję SVT zakupywali spiralę wewnątrzmaciczną.

### ► **Ja jednak nadal nie wiem, co się dzieje pomiędzy pytaniem „kontynuuję ciążę czy przerywam?” a momentem, kiedy kobieta się tej aborcji poddaje. Dokąd idzie? Kogo prosi o radę? Jak wygląda ten łańcuch?**

► Dzisiaj kobiety szukają rady w internecie. Wchodzą na okołaborcyjne fora – jest ich bardzo dużo. Problem jest taki, że te fora są zatrute przez ideologów, którzy popychają kobiety do aborcji. Mogę to powiedzieć, bo razem z przyjaciółką wchodziłyśmy na te fora, żeby uratować dzieci i ich mamy. Za każdym razem, kiedy zostawiałyśmy wiadomość: „zachowaj swoje małenstwo, zobaczysz że będziesz szczęśliwa, a my ci pomożemy”, byłyśmy ostro atakowane przez rozwścieczone internautki. W ciągu tych trzech lat niejednokrotnie nas blokowano. To była naprawdę

ciężka bitwa. Ale było warto – dla tych wszystkich dziewcząt, które dzięki naszym zachętom, dodawaniu otuchy postanowiły zachować dziecko. Proszę wierzyć, ich sytuacja zawsze się polepszała: wrócił chłopak, znalazły pracę. Za każdym razem była to piękna historia i za każdym razem wracały, żeby powiedzieć „dziękuję”.

### ► **Korzystają panie z możliwości wysyłania im prywatnych wiadomości?**

► Tak, często tak właśnie robiłyśmy. Ale ten „łańcuch”, o który pani pyta, jest dość wąty, a bezbronna kobieta z reguły staje wobec wielostronnych nacisków, którym nie wie jak podołać. Kiedy byłam w ciąży z moją Blanche, złapałam wirusa i powiedziano mi, że moje dziecko będzie miało przerost mózgu, będzie niewidome albo głuche. Lekarz orzekł wtedy: abortować. Powiedziałam mu, że tego nie zrobię. Zrobiłam to już raz i nigdy więcej. Więc musiałam podpisać oświadczenie, że zrzekam się praw do skargi przeciw nim. A moja córka urodziła się zupełnie normalna. Zapytałam potem tego lekarza: „Ile dzieci wystaliście na śmietnik?”, a on odpowiedział: „Dużo”.

### ► **Personel medyczny nie upewnia się, że kobieta jest pewna swojej decyzji?**

► Oni nie chcą brać na siebie ryzyka, bo problem polega na tym, że szpitale są łatwo atakowane, jeśli na przykład kobieta ma rozpoznanie dziecka z zespołem Downa. Zdarzają się skargi przeciw szpitalowi, bo „nie powiedzieliście mi o tym na USG”. Żeby więc nie tracić pieniędzy na procesy i rekompensaty, w szpitalach kobietom podsuwane są deklaracje zgody na „aborcję terapeutyczną”. Tak to się teraz nazywa.

### ► **Ale gdy nie ma jeszcze podejrzenia choroby dziecka, na przykład przed 12 tygodniem, czy personel medyczny upewnia się, że kobieta jest stabilna emocjonalnie i pewna swojej decyzji?**

► Nie, nie ma obserwacji psychologicznej. Nawet w przypadku dobrowolnej aborcji, tej „nieterapeutycznej”, obowiązek konsultacji u psychologa został zniesiony. Są nawet dziewczyny które zamawiają tabletki przez internet. Ale większość historii, które znam, po prostu rozdziera serce. Wiem o nastolatkach, które zobowiązane przez chłopaka szły z płaczem do gabinetu lekarskiego. Ale nikt ich nie chciał wysłuchać. Tak działa ciężar ideologii i slogan „prawa do aborcji”.

### ► **Gdybym była lekarzem, pomyślałabym: jeśli ona płacze, to chyba nie ma ochoty tego zrobić?**

► Powiem więcej: pani Rossignol wyznaczyła szpitalom priorytet wykonywania jeszcze większej liczby aborcji. Ja swoją drogą nie rozumiem tej presji. Czy oni dostają za to pieniądze, za każdy zabieg? Czy to tylko ideologiczne zaccadzenie ludzi wykształconych i jednocześnie sformatowanych?

### ► **Zastanawiam się ponownie czy to naprawdę nie wzrusza lekarzy? Nie używają klauzuli sumienia?**

► Klauzula sumienia jest we Francji na etapie zaniku. Już teraz pielęgniarki i terapeuci nie mają prawa się na nią powoływać. A lekarze ulegają presji przełożonych. Każdy szpital, który ma oddział ginekologiczny, musi wykonywać aborcję. To dlatego dzisiaj w gronie osób z ruchu pro life zastanawiamy się, czy nie trzeba stworzyć specjalnych szpitali ze specjalnie przeszkolonym personelem.

► **A opieka społeczna? Czyżby w ogóle na tym polu nie działała?**

► Teoretycznie działa, mamy sieć specjalnych domów opieki, problem w tym, że kobiet wahających się czy urodzić dziecko nikt o takiej możliwości nie informuje. Moim problemem był właśnie lęk, że nie będę miała pieniędzy, aby wychować to dziecko. Dopiero później się dowiedziałam, że kobieta w ciąży dostaje pomoc finansową, może dostawać alimenty, mieszkać w domu opieki, żeby przejść spokojnie czas ciąży, może oddać dziecko do adopcji, może je w końcu powierzyć jakiejś rodzinie... O tym wszystkim nigdy nikt mi nie mówił. Także w *planning familial* mi o tym nie powiedziano.

► **Chciałam jeszcze zapytać o ojców nienarodzonego dziecka. Czy z nimi pani też rozmawiała? Co oni czują?**

► Tak, znam ich relacje. Czy żałują? Często nie przyznają się do tego, ale to wypływa z nich podświadomie. Gdy mi mówią „moja dziewczyna kiedyś dokonała aborcji”, widzę ten moment refleksji. Czasem pada pytanie: „Gdybym miał to dziecko, ile teraz miałyby lat?”

► **Czy wpływa to na związki, które tworzy się potem? I na zachowanie następných dzieci?**

► Rozmawiałam z pediatrą, który mówił że dzieci urodzone po wcześniejszej aborcji matki często mają różne zaburzenia, na przykład nadaktywność. Ten lekarz uważa że dziecko, które rodzi się po wcześniejszym poronieniu lub aborcji matki, odczuwa w jakiś sposób to, co się stało. Jednak gdy pyta pacjentki, czy rozmawiają o tym z dzieckiem, najczęściej okazuje się że nie rozmawiają. Kiedyś udzielał konsultacji matce, która przyszła z dzieckiem i w momencie gdy wyznała: „Tak, straciłam jedno dziecko”, ten chłopiec krzyknął: „Nieprawda, ty je zabiłaś!”

► **Wcześniej o tym nie wiedział?**

► Nie wiedział. To dlatego z moimi córkami wolałam o tym otwarcie porozmawiać, tak wcześnie, jak to było możliwe. Bo ja miałam też jedno samoistnie poronienie, w siódmym miesiącu ciąży. Moje dzieci wiedzą, że mają w niebie brata - tego, którego poroniłam - i brata lub siostrę, dziecko które abortowałam. Wspólnie nadałyśmy im imiona i w ten sposób dajemy im życie w naszej rodzinie.

## Macie wybór pomiędzy śmiercią a życiem.

### To wy musicie dokonać tego wyboru

► **Dało wam to pokój serca?**

► Wolę dać przykład znajomej, której córka była w klasie z moją córką. Ta dziewczynka miała problemy z agresją: biła matkę i moczyła się do łóżka. Spytałam tę znajomą czy nie miała doświadczenia aborcji. Ona potwierdziła. Ja jej na to: „Możliwe, że twoja córka to podskórnie odczuwa. Byłoby dobrze gdybyś jej o tym powiedziała”. Cóż, nie jest łatwo wyznać to dziecku, powiedzieć mu: „Przed tobą byłby brat albo siostra”. Wiem, że ja sama byłabym wściekła, gdyby moja mama mi coś takiego powiedziała. Jednak znajoma w końcu to zrobiła. Dziewczynka płakała podczas tej rozmowy, ale później przestała moczyć się do łóżka i nie przejawiała już zachowań agresywnych.

Powiem jeszcze, że ojciec mojej ostatniej córki także chciał żebym przerwała ciążę. Dopuszczał się przemocy i bardzo się go bałam. Mimo tej presji zachowałam dziecko i teraz mogę pani powiedzieć, że moje relacje z jego ojcem się poukładały.

► **To nieprawda że aborcja pomaga kobiecie wyzwoić się w sytuacji przemocy?**

► Na pewno nie ma takiej reguły. Nawet w tym przypadku wszystko może się ułożyć.

► **Zapytam na koniec, co mogłaby pani powiedzieć kobietom w Polsce?**

► Macie wybór pomiędzy śmiercią a życiem. To wy musicie dokonać tego wyboru. Ja sama najpierw wybrałam aborcję, potem naturalnie poroniłam, a wreszcie urodziłam trzy córki. I z własnego doświadczenia mogę powiedzieć, że urodzenia dziecka nie żałuję się nigdy. Jeśli dziewczyna ma wybór, niech da sobie pomóc. Wśród nas żyje wielu ludzi, którzy chętnie pomogą. Jestem pewna, że także w Polsce.

► **rozmawiała Zofia François**

#### AMÉLIE DESRUMEAUX

pracuje jako nauczycielka w jednej z francuskich szkół. Własne przeżycia opisała w książce „Pardon les enfants” (Przepraszam was, dzieci!), wydanej pod pseudonimem Rose Delattre.

# LOS KOBIETY. POZOSTAĆ W CIELE, WEJŚĆ W DRAMAT

JUSTYNA MELONOWSKA

**Antykoncepcja i aborcja umożliwiają kobiecie być bardziej męskopodobną. Do pewnego stopnia uwalniają ją od jej cielesności i związanego z nią brzemienia – nomen omen – brzemienności.**

Świat, w którym żyjemy wydał wojnę różnicy. Jest to na Zachodzie epoka ciągłego przekraczania, czas „trans”. Priorytetem stała się likwidacja różnicy płci. Najbardziej znaczącym wyrazem tego procesu zdaje się kulturowy wymiar zjawiska transseksualności, którego skrajnym (i horrendalnym) wyrazem jest dziś trwałe okaleczanie dzieci celem realizacji mirażu „zmiany płci”. Oczywiście w wyniku podobnych zabiegów nie dochodzi do czegoś takiego, jak „zmiana płci”, gdyż naturalna różnica biologiczna nie może zostać zniszczona. Można jedynie podjąć z nią jakąś grę i zmusić innych do uczestnictwa w niej. Właściwym słowem jest tu zatem nie „zmiana”, lecz „okaleczenie”; często po prostu „okrojenie”.

Problem „transseksualności” jest zresztą o tyle ciekawy, o ile nie wprost kwestionuje ideologię „emancypacji od różnicy”. Jeśli bowiem „zmiana płci” jest czymś tak znaczącym dla podmiotu, znaczy to, że musi istnieć istotna różnica. W przeciwnym bowiem razie jej likwidacja nie byłaby czymś ważnym i doniosłym. Tym samym zmiana w tym obszarze jest de facto uwyrażnieniem, a próba likwidacji różnicy – jej apologią.

Bardziej konsekwentnym i spójnym przykładem walki z różnicą są procesy rewizji związków i instytucji opartych na różnicy płci, zwłaszcza waloryzacja i cywilizacyjna protekcja związków homoseksualnych. W obu wymienionych przypadkach (trans- i homo-) kresem

wyduje się represja w pewnych obszarach życia społecznego słów „matka” i „ojciec”. Są one znoszone i zakazywane jako nie tylko zakładające różnicę płci, ale też podkreślające fakt, że różnica ta ma charakter seksualny i płodny. Że jest naturalna par excellence oraz konieczna. Pojęcia „macierzyństwa” i „ojcostwa” demaskują umowny jedynie fakt odrzucenia różnicy. I jeśli w przeszłości przeceniano aspekt różnicy płci, co zrodziło słuszne roszczenia ruchów emancypacyjnych, to dziś widać, że niedocenywanie go jest jeszcze większym błędem. Fakt ten powinien nas mobilizować do tym uważniejszego namysłu nad zradzaniem i rodzicielstwem. Niniejszy szkic poświęcam temu właśnie zadaniu. Chodzi mi o zarysowanie pewnego specyficznego doświadczenia, którego nosicielkami mogą być tylko kobiety. A także o ulokowanie go w zachodnim projekcie likwidacji różnicy płci.

## **Kobieta „przed” i „po”**

Cechą kobiecego ciała – niezależnie od tego, czy jest ono ciałem matki, czy nie – jest pewna miękkość. Typowa linia kobiecego ciała jest kreską wypukłości i wgłębień, są to raczej dwie, złożone litery „s” niż jedna litera „l” jak w przypadku męczyzny. Owa miękkość sprawia, że jest to ciało przyjmujące i chroniące, bardziej poprzez zakrycie sobą (otulanie, obejmowanie), niż



poprzez podejmowanie walki, do której jednak bywa i zdolne, i zmuszane. Funkcjonuje w zmiennym i często uciążliwym cyklu miesięcznym, determinującym jego różnorakie możliwości – od siły i wytrzymałości po koncentrację umysłową. Jest to zatem ciało nieustannie zmienne, fluktuujące. Istotnym wymiarem jego funkcjonowania jest wilgotność i wilgocenie, w tym zwłaszcza comiesięczny upływ krwi. Owe upływy mają swoje cechy fizyczne (konsystencja, zapach, barwa), przez co ciało kobiece jest bardziej „zmysłowe”, jako że bytowanie „w nim” i bycie „przy nim” często angażuje różne zmysły. Osobliwie intensywnie te jego właściwości dochodzą do głosu w dni płodne.

Co do samego stosunku seksualnego ciało kobiety jest „otwarte” i przyjmujące, poddające się penetracji, choć jednocześnie zachowuje obejmująco-napierającą zdolność swych własnych mięśni. To przyjmowanie jest jednak nie tylko przyjęciem męskiego organu najdosłowniej „we własnym wnętrzu”. Jest ono również przyjmowaniem nasienia, które „pracuje” w kobiecie długi czas po tym, jak stosunek seksualny został zakończony i gdy jest on zakończony dla mężczyzny (w którym nic już „nie pracuje”). Za sprawą nasienia kobieta może zająć w ciążę, co z kolei uruchamia proces, który zarazem ma coś z kontynuacji (stosunku), jak i coś z zupełnej i radykalnej „osobności”: oto bowiem w jej ciele zawiązuje się inne ciało.

Znaczenie wszystkich tych biologicznych uwarunkowań wykracza jednak daleko poza nie same. Tworzą one coś, co można nazwać kobiecym losiem, czy dolą kobiecą. Wiemy, że Grecy uważali iż od losu uwolnić się nie sposób, a każda próba tego rodzaju nie tylko sprowadza nieszczęście, ale jeszcze utwierdza, czy wręcz umożliwia zakodowaną w losie „klęskę”. Można więc podejrzewać, że również próby uwolnienia się

od kobiecego losu poprzez uwolnienie się od ciała i cielesności w jakiś sposób muszą pogłębić tragedię, uczynić kobiecą dolę nieznośną. By przyrzeć się tej kwestii musimy jednak uchwycić sposoby, w jakie owo porzucanie płci biologicznej się dokonuje. Czy może raczej - próbuje dokonać.

Pierwszym, najłatwiejszym do wskazania, jest antykoncepcja. Nie modyfikuje ona kobiecego ciała w ten sposób, iżby miała pozbawiać je typowej dla kobiet miękkości, wypukło-wklęsłych kształtów etc. Poza tym jednak ingeruje i modyfikuje to ciało głęboko właściwie we wszystkich z pozostałych wymienionych wymiarów. Pozbawiając je jego cykliczności „wyrównuje je”, a tym samym ogranicza bądź niweluje problemy z wytrzymałością, odpornością, zmęczeniem itp. Jest to zatem ciało równotrwale wydajne. Pozbawione owego „przed” i „po” właściwego całemu życiu kobiecemu w okresie prokreacyjnym (choć przecież pokwitanie i menopauza również są innego rodzaju formami bycia „przed” i „po”). Antykoncepcja wpływa na aspekt „wilgotności” aż po modyfikację upływu krwi (pozostaje coś, co „przypomina” krwawienie miesięczne, co jednak jest pod każdym względem od niego różne), a dalej - na całą sensualność kobiecego ciała. W swej budowie nadal jest to ciało przyjmujące i poddane penetracji w swym punctum, ale nie jest już ono cyklicznie przyjmujące i ułatwiające drogę męskiemu nasieniu (z całą gamą zmysłowych konotacji z tym związanych), lecz walczące i utrudniające. Pod tymi względami ciało kobiety zostaje przemienione w „mniej kobiece”, a co do ogólnego wyrównania staje się równie przewidywalne, co ciało mężczyzny (choć oczywiście stosowanie hormonalnej antykoncepcji obarczone jest ryzykiem objawów niepożądanych). Nie sposób odpowiedzieć, czy istnieją uniwersalne prawidła i wymiary tej przemiany.



Oczywiste jest jednak, że modyfikacja ciała pociąga za sobą modyfikację cielesności, a zatem sposobu przeżywania. Ciało „mniej kobiece” jest też ciałem eo ipso „bardziej męskim”, a właściwie „męskopodobnym”.

Dalszym etapem tego upodobniania ciała kobiecego do męskiego jest aborcja. Bernadette Ward – opierając się na teorii kozła ofiarnego rozwijanej przez René Girarda – pisze w tym kontekście o świecie, w którym kobiety pragną rywalizować z mężczyznami, gdzie najważniejszym postulatem staje się równość, jako że jest ona tej rywalizacji warunkiem wstępnym. „Rzecz jednak w tym – pisze Ward – że równość została tu zdefiniowana czysto mimetycznie: kobiety będą wolne tylko wtedy, gdy staną się jak mężczyźni”. Antykoncepcja i aborcja umożliwiają kobiecie być bardziej męskopodobną, do pewnego stopnia uwalniają ją od jej ciała i cielesności i związanego z nimi brzemienia – nomen omen – brzemienności.

Dlaczego jednak różnica ma zostać zlikwidowana? Dlaczego jest tak znienawidzona? Po pierwsze dlatego, jak wskazuje Ward, że nie idzie w parze z dominującym rozumieniem równości. Po drugie, utrudnia rywalizację, a więc zabieganie o tę równość. Ta jednak jest nie tyle celem samym w sobie, ile środkiem do celu o krok dalszego: sprawiedliwości (gdyż doskonała równość oznacza tu doskonałą sprawiedliwość i odwrotnie). Najważniejszymi sferami życia stają się też te, w które wpisana jest rywalizacja. A więc nie tyle rodzina, ile praca. Jednak, przypomina Ward, „podwładny nie może się obejść bez ciała”. Tym samym „tak długo, jak płciowość pozostaje częścią jego życia, równe traktowanie okazuje się de facto nierównością. Płeć i rodzicielstwo nie znaczą, i nie mogą znaczyć, tego samego dla kobiety, co dla mężczyzny. (...) Jest jednak mało prawdopodobne, aby kobieta zechciała zmienić struktury społeczne, skoro uwewnętrzniła cechującą te struktury pogardę dla jej własnej fizyczności”.

Innymi słowy: likwidacja znaczenia nadawanego różnicy, z coraz większym akcentem kładzionym na likwidację samej różnicy, powoduje nowe, specyficzne formy niesprawiedliwości. Modyfikuje bowiem instytucje społeczne w taki sposób, że zapoznają one różnicę biologiczną, a zatem pracownik w ciele kobiety na „równym traktowaniu” traci, gdyż nie jest w stanie stać się do końca ciałem męskim. Efektem jest tu zatem nie nowa sprawiedliwość, lecz nowa niesprawiedliwość. Począwszy od mody i obyczaju, po rodzinę i prawny sztafaż jej trwania i rozpadu wszystko zaczyna działać przeciw rozpoznaniu różnicy między kobietą a mężczyzną, a dalej między matką a ojcem.

Macierzyństwo staje się zarazem prywatne (sprawa osobista pracownika) i niezabezpieczone przez sieć skoncentrowanych na matce i dziecku instytucji społecznych. Skutkiem tego ciało kobiety ze swą fluktuacją i prokreacyjnością zaczyna rzeczywiście być opresyjne, a potrzeba jego modyfikacji i uwolnienia się od niego staje się na swój sposób racjonalna i uzasadniona, a nawet – z pewnego punktu widzenia – konieczna („prawo do” aborcji). Winniśmy się zatem wzbraniać przed postrzeganiem postulatów aborcyjnych i ruchu

aborcyjnego jako li tylko najwyższego wykwitnięcia narcystycznej osobowości naszych czasów, z całym właściwym jej okaleczeniem, w tym przez prostotę, naiwność i miłośność sądów moralnych. Żądanie aborcji jest to, bez wątpienia, wyraz „woli mocy” i ruch na wskroś nietzscheański, a jednak ta „wola mocy” ma swe powody i swe dramaty. Bycie kobietą w społeczeństwie ignorującym różnicę płci jest nie mniej straszne, niż w społeczeństwie uznającym wyłącznie różnicę kosztem wymiarów podobieństwa (np. anatomia ludzka) i identyczności (natura ludzka, dusza rozumna). W tym też sensie można widzieć podobieństwo między powszechnością aborcji a zwyczajem sati w Indiach (rytuał pogrzebowy, polegający na samospaleniu wdowy żywcem wraz ze zwłokami męża - przyp. red.) W obu wypadkach do głosu dochodzi zaburzony stosunek do różnicy płci.

## Gest Edypa

Grecy rozumieli, iż od losu – od tego, co naprawdę nim jest, a nie co ukazuje przypadkowe wygody i niewygody naszego położenia – nie da się uciec. W istocie sądzili, że los człowieka pokrywa się z jego przeznaczeniem. Tym samym zajmowali pozycje fatalistyczne. Nie jest to jednak jedyny punkt widzenia, jaki można w tej sprawie przyjąć, choć w kontekście aborcji dający do myślenia. Pamiętamy że Edyp wykuł sobie oczy odkrywając, iż mimo wszelkich własnych usiłowań zabił swego ojca i spał z matką. Wolno pytać, czy „syndrom poaborcyjny” nie jest właśnie takim odpowiednikiem gestu Edypa czy innych bohaterów greckich, i czy nie potwierdza tej podstawowej greckiej intuicji antropologicznej: „jeśli spróbujesz uciec od swego losu, próba ta nie tylko się nie powiedzie, ale jeszcze zapłacisz za to straszną cenę”.

Poza tym rozpoznaniem antropologicznym, poza „człowiekiem homeryckim” czy „człowiekiem greckim” istnieją jednak dalsze pułapy analizy, każące nam dojrzeć różnicę między losem a przeznaczeniem. Czym jednak jest los? „Los zawiera w swej treści to, co się człowiekowi «zdarza», czego zatem nie obejmuje wola i zamiar” – pisał Max Scheler. Zauważał jednak, że los obejmuje „to, co – o ile się «zdarza» – może się zdarzyć właśnie jedynie temu jednemu podmiotowi moralnemu”. Los jest zatem jakoś spoisty z osobą, która go nosi; jest on wyrazem całokształtu, wręcz charakteru jej życia. W tym też sensie jest on czymś niesłychanie intymnym i tajemniczym. Scheler nie poprzestaje na powtórzeniu greckiego rozwiązania dylematu, gdyż – podkreśla – choć losu „nie wybiera się swobodnie, to jednak człowiek może się w różny sposób wobec niego zachować”. Tym, co umożliwia człowiekowi owo „zachowanie się wobec losu” jest – twierdzą – ludzka natura rozumna. To ona sprawia, że los człowieka nie staje się jego przeznaczeniem. W tym momencie widzimy jednak jasno rzeczownika spędzania płodu, który powie, że jego celem jest właśnie to, by losowa ciąża nie stała się przeznaczeniem kobiety, by jej nie określiła i nie wypaliła na jej życiu piętna boleśniejszego może niż to, jakie bywało udziałem tragicznych bohaterów

greckiej wyobraźni. Czy zresztą wyrazem ludzkiej rozumności nie jest postęp techniczny, a nawet w ogóle – niezależnie od epoki i kultury – „znajdowanie sposobów”? I czy doprowadzając do spędzenia płodu nie powodujemy właśnie tego, że los danej kobiety przestaje być jej przeznaczeniem, a zatem że rozerwany zostaje ten fatalny, grecki splot?

Szukanie odpowiedzi na to i podobne pytania musi zakładać wolną, nieuprzedzoną gotowość wejścia w dramata ludzkiej – tu: kobiecej – egzystencji. Powtórzmy jednak: w dramata, co upoważnia nas do wprowadzania różnic również w tym obszarze. Pewne sytuacje „losowe” są dramatyczne, a inne nie są. W tych ostatnich niewykluczone, że jedynym elementem dramatyczności określonego położenia jest to, że jest się niezdolnym zobaczyć, że żaden dramat nie zachodzi. Mamy tu wówczas do czynienia z niesłyszczanym spłaszczeniem egzystencji, z pewnego rodzaju tępotą umysłu i ducha. Należy zatem pamiętać, że wolny wybór, który umożliwia rozerwanie pętli fatum, musi pozostawać w granicach losu, w obszarze przez niego wytyczonym. Tym samym „zachować się wobec losu” zawsze oznacza do pewnego stopnia go przyjąć. W przypadku niechcianej ciąży każe to szukać takich rozwiązań, które respektują sam fakt jej zaistnienia i jego przyjęcie. „Zachować się wobec niechcianej ciąży” może oczywiście oznaczać przyjęcie dziecka, ale może oznaczać urodzić je i oddać na wychowanie, a nawet urodzić i gdzieś podrzucić. Są to wszystko bowiem wyjścia, które pozostają właśnie w tych wskazywanych przez Schelera „granicach losu”.

## Miłość do własnego zbawienia

Kto ucieka od losu nie jest wolny, jest w istocie zakładnikiem sytuacji ucieczki (ucieczka ogranicza pole jego wyboru i możliwości). Jest też kimś przymuszonym – jest zmuszony do ucieczki. „Rozerwać” związek losu i przeznaczenia oznacza zatem respektując to, co los przyniósł, zachować się w wyznaczonych przez niego granicach w sposób wolny, poprzez określenie i uwidocznienie swojego charakteru i zasad. O ile los wypala swoje piętno na człowieku, o tyle nic nie stoi na przeszkodzie, by człowiek – wzajemnie – wypalił na losie piętno swego charakteru i swej woli. Co jednak sprawia, że jest to zdolność dziś coraz rzadsza i coraz mniej ceniona (czy bowiem dziś jeszcze ceni się „twardy charakter” czy „żelazną wolę”)?

Najprostsza odpowiedź każe wskazywać na czynniki kulturowe, na przykład niesłyszczaną dominację umysłowości liberalnej z jej wyakcentowaniem „wolności od” i – w skrajnych postaciach – uznaniu każdej „wolności do” za opresję. Umysłowość ta ma szczególną trudność z uznaniem, a nawet rozważeniem tego, że warunkiem doczesnej sprawiedliwości, która jest wszak celem liberalizmu przenikającego ludzkie społeczności i ich instytucje, jest nie likwidacja różnicy, lecz jej pełne

uznanie, a dalej konstruowanie porządku społecznego ze względu na nią, niejako plasując ją w centrum życia wspólnoty, bez jednak popadania w jakąkolwiek przesadę naruszającą rzeczywistą godność osoby.

Na pytanie o zdolność zachowania się wobec losu można udzielić jeszcze innej odpowiedzi. Otóż zdolność ta jest przede wszystkim udziałem takiego podmiotu moralnego, który zachowuje miłość własną, przez co za Schelerem należy rozumieć „miłość do własnego zbawienia”. Jestem przekonana, że uznanie tego twierdzenia nie wymaga przyjęcia określonych artykułów wiary ani nawet zajęcia stanowiska teistycznego. Sądzę, że ten, kto zachowuje miłość własnej duszy i pragnie być najlepszym obrazem samego siebie (najbardziej udanym autoportretem duchowym), ten również na swój sposób „miłuje własne zbawienie”.

## Aborcja, ucieczka przed losem

Podsumujmy. Jest wyrazem naszego losu płęć, w jakiej się rodzimy i – taka właśnie jest funkcja losu – określa ona w zasadniczym stopniu logikę naszego istnienia, tworząc skomplikowaną mozaikę z tym wszystkim, co w nas indywidualne (w tym z całą, niedającą się ogarnąć gamą możliwości życiowych podmiotu ludzkiego, takich jak uroda, temperament, wrodzone i nabyte zdolności, miejsce urodzenia i dom rodzinny, klimat i krajobraz stron ojczystych, język, obyczaje, a także wszelkie wydarzenia tworzące unikalny, niczym linie papilarne, splot wydarzeń naszego życia). Na przedłużeniu płci również kobiece ciało i cielesność są wyrazem losu. W pewnym też sensie los jest potężną siłą określającą całe nasze istnienie, a próby ucieczki od niego są zarazem źródłem i wyrazem tragiczności ludzkiej kondycji. Dziś na swój sposób owa tragiczność jest rysą na obliczu całej cywilizacji zachodniej, w której kobiety en masse postanowiły uciec od kobiecego losu przez porzucenie kobiecości swych ciał i uczynienie ich możliwie męskopodobnymi. Najwyższym wyrazem tej tendencji jest aborcja i powszechny ruch aborcyjny.

Walka z różnicą płci jest jednym z głównych obszarów walki z różnicą w ogóle, jaka stanowi sprężynę ideologiczną Zachodu. W gruncie rzeczy chodzi o wytworzenie cywilizacji „trans”, przekraczania lub raczej różnicy przekroczonej. Dzieje się tak, gdyż każda różnica naturalna wyraża działanie losu - czynnika zarazem określającego i niepodlegającego wyborowi. Los wyraża nie tylko to, czym jestem, ale też to, czym nie jestem i nie mogę być. Będąc kobietą nie mogę być mężczyzną i vice versa. Tym samym walka z różnicą jest walką z losem, a walka z losem – walką z podstawowym, egzystencjalnym ograniczeniem możliwości podmiotu. W tym też wymiarze należy postrzegać zagadnienie aborcji. Chodzi w niej o to, by odnieść zwycięstwo nad różnicą płci i uczynić kobietę męskopodobną. Ale też, by odnieść zwycięstwo nad losem jako takim. Cel jest tu

szlachetny: znieść różnicę to ustanowić królestwo równości, tym samym zaś sprawiedliwości, gdyż równość to sprawiedliwość (i w drugą stronę, sprawiedliwość to równość). Trudno dziś przyjąć perspektywę przeciwną: taką mianowicie, że sprawiedliwość to właściwe rozpoznanie i ulokowanie różnicy. Ta druga perspektywa jest jednak nie tylko bardziej wymagająca intelektualnie, ale i praktycznie, jako że w imię różnicy dokonywano niesłychanych nadużyć na kobietach, mężczyznach i rodzinach. Niebezpieczeństwo recydywy póki co Zachodowi nie grozi, pojawia się natomiast dewiacja nowa i nie dość rozpoznana. Otóż procesy likwidacji różnicy płci zaczynają obejmować różne sfery życia społecznego, a na skutek zapoznających różnice (w tym kobiecość i macierzyńskość ciał wielu podmiotów życia społecznego) powstają regulacje toksyczne dla kobiet, a zwłaszcza dla matek. Tym samym ciało kobiety rzeczywiście staje się jej wrogiem. Na przykład dziś nieplanowana ciąża może być katastrofą – na przykład ekonomiczną – nie tylko dla kobiet skoncentrowanych na sukcesie zawodowym, ale i dla kobiet-opiekunek domowego ogniska, jako że zwykle utrzymanie rodziny wymaga również od nich jakiegoś wkładu finansowego.

Negowanie różnicy naturalnej – tak na poziomie indywidualnym, jak społecznym, w końcu zaś cywilizacyjnym – może być rozumiane jako ucieczka od losu. Jednak już Grecy wiedzieli o tym, że próba tego rodzaju dać może jedynie efekt tragiczny. Greckie stanowisko fatalistyczne – choć bardzo ważne – nie wyczerpuje jednak problemu, jako że podmiot moralny może się różnie wobec losu zachować, może wobec niego zająć stanowisko. Dokonuje się to jednak nie w akcie ucieczki, lecz w stanięciu z losem „twarzą w twarz” w obszarze możliwości przez ten los – a nie przez podmiot – wyznaczonym. Gdy podmiot moralny rzuca się do ucieczki przed losem i podejmuje próby jego zniszczenia (np. aborcja), wówczas przegrywa. Gdy jednak przyjmuje zakres możliwości wyrysowanych przez los i postanawia zachować się „wobec niego”, wówczas dochodzi do zbudowania i uwyrażenia charakteru swego życia.

By to jednak było wykonane, jest ważne – jeśli nie wręcz konieczne – aby osoba darzyła siebie samą największą możliwą miłością, a zatem „miłością do własnego zbawienia”. Jeśli chcieć interpretować tę miłość w kategoriach nieteistycznych, oznacza to miłość do własnej duszy, swego najlepszego imago, obrazu. Jeśli zaś przyjąć – co bardziej oczywiste – perspektywę teistyczną, to pozwala zrozumieć, dlaczego polaryzacja postaw wobec aborcji dokonuje się wyraźnie wzdłuż osi przyjmowania lub odrzucania wiary i religii katolickiej (jako że wierzącym w Zbawiciela prościej „miłować swe własne zbawienie”).

## **Pani naprawdę sądzi, że ja bym... jak po kamieniu?!**

Na koniec, skoro zostałam poproszona o przyjęcie w tym tekście perspektywy kobiecej, niech mi wolno będzie podzielić się z Czytelnikami pewnym

wspomnieniem. Otóż dane mi kiedyś było brać udział w dyskusji w kameralnym gronie ze znanym działaczem pro-life, człowiekiem o – jeśli tak można powiedzieć – stalowym sposobie bycia i działania. Powiedziałam wówczas, że choć czuję się przekonana co do stanowiska, którego ów mężczyzna broni, to jednocześnie zachowuję pewną głęboką nieufność. Działacze – bądźmy szczerzy – wszędzie są tak samo niesympatyczni, są ludźmi wielkich idei, a nie małych spraw – takich jak czyjaś nieplanowana ciąża. Że, innymi słowy, zabiegając o słuszne dobro, w niczym człowiek ów nie uwalnia mnie i sądzę, że innych kobiet również, od typowej troski kobiecej i od lęku przed niezmierną samotnością wiadomego „a gdyby...”. Powiedziałam nawet wówczas wprost, że nie mam wątpliwości, iż przy jakimś szczególnie niepomysłnym obrocie spraw, gdyby dane mi było borykać się z myślą o spędzeniu płodu, on sam (w domyśle: tacy, jak on) przeszedłby po mnie (w domyśle: po każdej innej kobiecie) jak po kamieniu. Przydybał mnie później ów mężczyzna w opustoszałej sali. Jego twarz zdradzała ogromne napięcie, gdy z tą samą, co zawsze pasją mówił do mnie już nie zimno, lecz gorąco i bardzo cicho: „Więc pani naprawdę sądzi, że ja bym... jak po kamieniu? Niech pani zrozumie, że w takiej sytuacji wszystko bym zrobił... Czy pani może zrozumieć, co to znaczy, że ja bym zrobił wszystko?!”. Widzieć człowieka tak mocnego, który się czyni cały „do dyspozycji” drugiego (drugiej) jest przeżyciem, którego nie wolno mi zapomnieć. Jest też przypomnieniem tego, że choć każdy z nas ma swój los, od którego nie może być uwolniony, to już ciężar tego losu może, do pewnego stopnia, być dzielony. To z kolei otwiera całą zapoznaną dziś – od sprawiedliwości nieodłączną – dziedzinę nie praw, lecz powinności.

### **Źródła:**

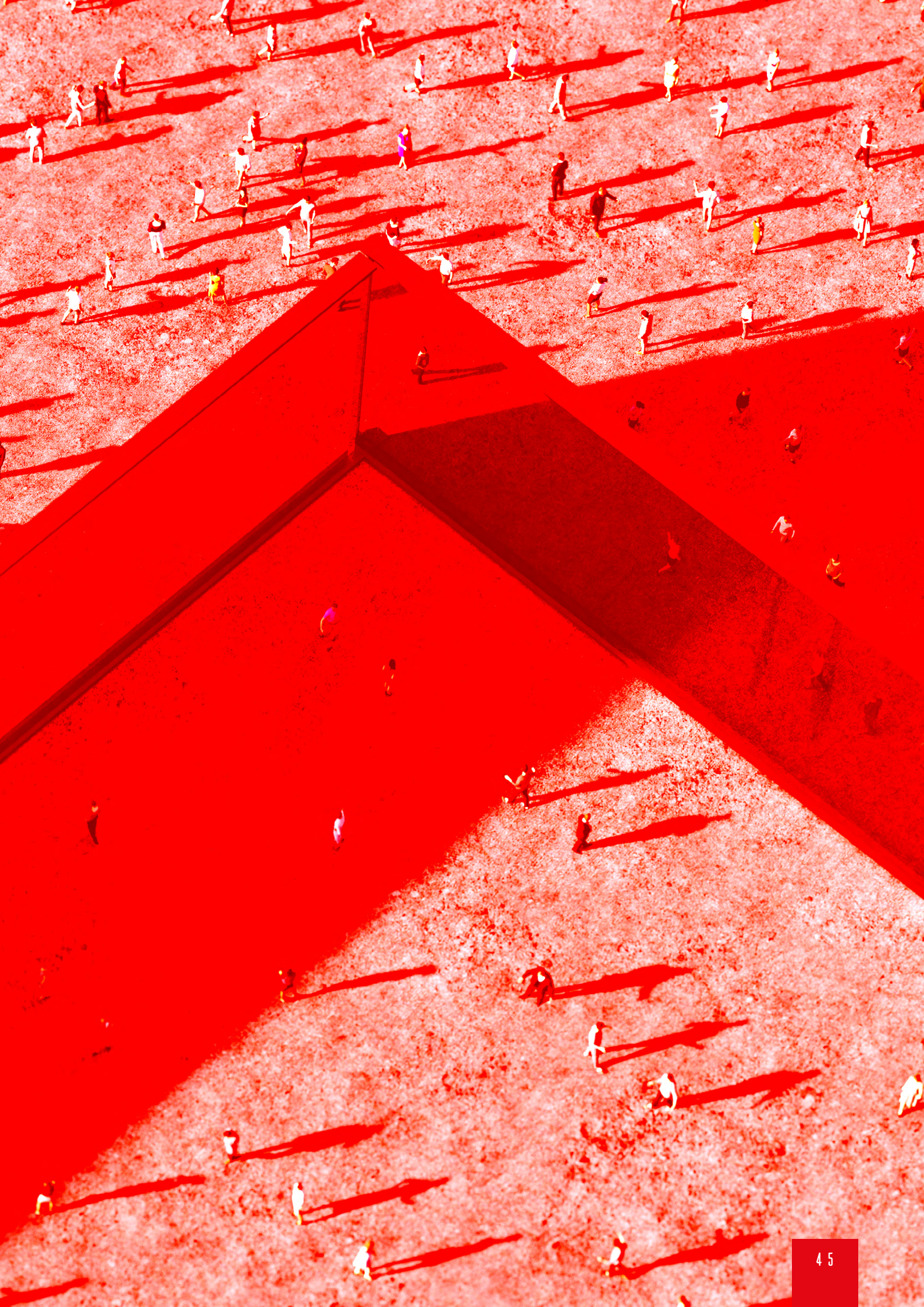
- » Baudrillard J., *Przejrzystość zła: esej o zjawiskach skrajnych*, Warszawa 2009.
- » Kernberg O., *Związki miłosne*, Poznań 1998.
- » Scheler M., *Normatywne i deskryptywne znaczenie ordo amoris, w: O miłości*. Antologia, red. M. Grabowski, Toruń 1998.
- » Waterman Ward B., *Aborcja jako sakrament. Pragnienie mimetyczne i ofiara w polityce dotyczącej życia seksualnego*, <http://christianitas.org/news/aborcja-jako-sakrament-pragnienie-mimetyczne-i-ofiara-w-polityce-dotyczacej-zycia-seksualnego/> dostęp 13.08.2021

### **JUSTYNA MELONOWSKA**

doktor nauk humanistycznych w zakresie filozofii, pracownik naukowo-dydaktyczny. Jej zainteresowania badawcze dotyczą filozofii kultury i religii, literatury, tradycyjnej pobożności oraz idei uniwersyteckiej. Pracuje nad książką „Religia i walka”. Pisma jakubowe oraz nad tomem o współczesnym uniwersytecie.



W OBRONIE  
WSPÓLNOTY



A portrait of Tymoteusz Zych, a man with short dark hair, a beard, and glasses, wearing a dark blue suit, white shirt, and red tie. He is smiling slightly and looking directly at the camera. The background is a blurred bookshelf.

# PANDEMICZNY LEWIATAN

*Tymoteusz Zych tłumaczy dlaczego prawo,  
zamiast utopijną konstrukcją, powinno być zwierciadłem*

**Potrzebny jest powrót do przednowoczesnego rozumienia prawa. Nie tylko nagiej mocy, ale również autorytetu. Zamiast czystej woli prawodawcy – rozum i doświadczenie pokoleń. Zaufanie życiu, przekonanie o obiektywnie istniejącym porządku i wyzbycie się utopijnych złudzeń.**

► **Epidemiolodzy powtarzają często, że pandemia musiała się wydarzyć, a jedynie kwestią czasu pozostawało, kiedy do niej dojdzie. Porozmawiajmy o tym, czy musiało również dojść do takiej a nie innej reakcji na nią. Czy podobnie jak na pojawienie się Covidu byliśmy skazani na politykę lockdownu, śledzenia kontaktów, rozwoju środków nadzoru i kontroli? Całą tę erupcję nieufności państwa wobec obywatela.**

► **Tymoteusz Zych:** Hannah Arendt postawiła kiedyś tezę, że punktem wyjścia do tego, aby odebrać jakieś prawo, jest skodyfikowanie go. Wcześniejsze nadanie go mocą ludzkiej władzy. Ten kto dał, może też odebrać. Logiczne, prawda? Myślę, że mamy tu klucz nie tylko do zachowania się państw w okresie pandemii – zawężając w ten sposób perspektywę zgubilibyśmy istotę sprawy – ale generalnie wielu zjawisk towarzyszących nam na co dzień. Myślę, że Arendt wskazuje na źródło problemu. Na sposób, w jaki definiujemy prawo.

Klasyczna, przednowoczesna wizja zakładała, że na poziomie fundamentów, pierwszych zasad, prawo bierze się z czegoś wyższego. Jest odczytywane z porządku, który człowiek może dostrzec i rozpoznać za pomocą władz rozumu i sumienia. Ale jest i drugie, bardziej przyziemne źródło prawa, jakim jest doświadczenie. I te dwa poziomy uzupełniają się w sposób doskonały, nie ma sprzeczności między rozumem a doświadczeniem. Z grubsza rzecz biorąc tak właśnie rozumiano prawo przez wiele stuleci. Jednym z najważniejszych dokumentów prawnych tamtej epoki było „Zwierciadło Saskie”. Dlaczego właśnie zwierciadło? Bo porządek prawny nie tyle został tu ustanowiony, co „przejrzał się” w rzeczywistości. Gdyż dokument ten nie tworzył prawa, ale je zbierał.

Problem pojawił się, gdy stwierdzono, że te dwa źródła są zbyt niepewne. Ludzie mogą się przecież posługiwać rozumem na różne sposoby, całkowicie odmienne mogą mieć również doświadczenia. Zaczęto wówczas poszukiwać instancji, która byłaby w stanie zagwarantować pewność prawa. I znaleziono ją w woli. To wola władcy ma od tej pory decydować o tym, co jest obowiązującym prawem. Kluczowym uzasadnieniem było dążenie do jak największej klarowności, przejrzystości, jasności, ostateczności obowiązywania reguł i norm. To przejście od mieszanki rozumu z doświadczeniem do woli, wyrażanej przez państwo, wyznacza granicę oddzielającą przednowoczesność od nowoczesności. Gdybyśmy mieli wskazać konkretny punkt na osi czasu, byłoby nim wydanie „Lewiatana” Thomasa Hobbesa.

► **W takim razie, czy na naszych oczach, w okresie pandemii, nie kończy się właśnie nowoczesność? Bo przecież wiele można powiedzieć o ustawodawstwie pandemicznym, nie tylko w Polsce, ale i w wielu innych krajach Zachodu, jednak nie to, że obowiązuje w klarowny i przewidywalny sposób. Czy nowożytne państwa, właśnie wtedy, gdy stały się Lewiatanem z prawdziwego zdarzenia, u szczytu swej mocy „dościerają im” przez pandemiczne okoliczności, nie**

**zachwiały się w posadach, nie ugięły od nadmiaru własnej siły?**

► Trudno filozofowi prawa, czy w ogóle prawnikowi oceniać postępowanie państwa w takiej sytuacji. To nie my jesteśmy tymi, którzy powinni dobierać odpowiednie środki do walki z zagrożeniem w rodzaju epidemii. Naszym obowiązkiem jest natomiast – już po czasie, z pewnej perspektywy – próba oszacowania zysków i strat. Ocena proporcji między pierwszymi a drugimi.

Po tej drugiej stronie, spośród tego co straciliśmy, nie wyróżniałbym specjalnie wolności. W ogóle przyznam, że swoboda, wolność negatywna, nie jest moim zdaniem kluczową wartością. Największym kosztem była utrata przestrzeni relacji. Całej sieci związków i kontekstów które tworzą, konstytuują nasze życie. Wydaje się, że szczególnie na ludziach starszych, na ich sytuacji psychicznej, lockdown – wyciągając ich niejako z tej sieci relacji - odbił się negatywnie.

► **Kłopot polega też trochę na tym, że używamy jednego słowa, „lockdown”, na określenie bardzo różnych strategii. W jeszcze większym stopniu różniły się od siebie reakcje społeczeństw na działania ich rządów.**

► Polska, jak w wielu innych obszarach, plasuje się tu pomiędzy dwiema skrajnościami. Z jednej strony są społeczeństwa zachodnie, gdzie do obostrzeń epidemicznych podchodzi się niezwykle surowo, z drugiej – wschód Europy. Takie państwa jak Ukraina czy Bułgaria, gdzie do walki z Covidem nie podchodzono już tak restrykcyjnie. Podróżowałem ostatnio sporo po kilku krajach zarówno zachodniej, jak i wschodniej części Europy. Tym, co na pewno rzuca się w oczy, jest zależność między religijnością społeczeństw a stosunkiem do obostrzeń. Tam, gdzie zanika więź z transcendencją, gdzie nie ma poczucia, iż istnieje coś przekraczającego nasz świat, tam akceptacja dla twardej polityki antyepidemicznej jest największa.

**Największym kosztem była utrata przestrzeni relacji. Całej sieci związków i kontekstów które tworzą, konstytuują nasze życie**

Podobną tendencję można zaobserwować w Polsce. Spotkałem się kiedyś ze stwierdzeniem, że na Podkarpaciu czy Podlasiu lockdown „nie przyjął się”. Samo to sformułowanie jest znamienne. A jeszcze bardziej fakt, że właśnie tam, gdzie obowiązuje inna hierarchia wartości a życie codzienne jest dużo bardziej otwarte na to, co codzienność przekracza - mówiąc potocznie - dano sobie z obostrzeniami spokój. W tych wschodnich, konserwatywnych regionach najsilniej obowiązują też normy społeczne. Tam jakaś reguła nie musi być zapisana w prawie pozytywnym, aby obowiązywać.

Proszę sobie przypomnieć zamieszanie wokół godziny policyjnej w Sylwestra. W pewnym momencie

chyba nikt już tak naprawdę nie wiedział, czy ona obowiązuje czy nie. I wtedy premier Morawiecki powiedział coś, co jest nie tylko ciekawe z prawniczego punktu widzenia, ale też wydaje się zasadniczo słuszne. „To nie jest nakaz, to prośba”. Ani akt bezwzględnie obowiązujący, ani nieważny. Coś pomiędzy. I w ten sposób trafił moim zdaniem nie tylko do wrażliwości swoich wyborców, ale też uruchomił pewien specyficzny, wciąż żywy, przynajmniej w Europie Środkowej czy obszarze Międzymorza, sposób rozumienia prawa. Jako czegoś więcej niż tylko nagie reguły.

**Filozofowie, którzy „wymyślili” nowoczesność uznali, że możliwe jest stworzenie ładu całkowicie szczelnego i skutecznego w sprawowaniu kontroli i nadzoru nad człowiekiem. Wykreowanie takiego porządku, który byłby w stanie okiełznać społeczeństwo w sposób doskonały.**

► **Czym mogą być okryte nagie reguły, kiedy nie są uzbrojone w policyjną pałkę? Gdzie jest istota tego specyficznego rozumienia prawa?**

► W starożytnym Rzymie istniało coś takiego jak *auctoritas*. Był to wymiar władzy przynależny senatorom. Oni oczywiście posiadali pewne kompetencje prawotwórcze, ale na rzeczywistość wpływali przede wszystkim w sposób dużo mniej uchwytne, co nie znaczy że słabszy. Tytus Liwiusz scharakteryzował *auctoritas* jako mniej niż nakaz, ale więcej niż prośbę. Przywoływał bardzo sugestywny obraz statku podczas sztormu, chylącego się raz na jedną, a raz na drugą stronę. *Auctoritas* nie sprawi, że będzie on stał cały czas pionowo, w ogóle nie będzie się chwiało. Jest za to balastem, dzięki któremu statek nie zatoni. Utrzyma względną równowagę. Ten wymiar prawa, być może wraz z upadkiem autorytetu (bo właśnie *auctoritas* jest źródłostwem tego pojęcia) władzy publicznej, jest niemal zupełnie zapomniany.

► **Wolność i bezpieczeństwo to sztandary, pod którymi zebrały się w okresie pandemii dwa walczące ze sobą obozy. Z tego, co pan mówi nie wynika, że sam zapisał się do któregoś z nich.**

► Przeciwstawiając sobie tak radykalnie te dwa dobra tracimy z oczu sedno sprawy. Prześledźmy źródła tych pojęć w czasach najnowszych. Pierwsze, bezpieczeństwo, pojawia się jako kluczowa wartość u Hobbesa, drugie – wolność, w myśli Johna Locke’a. Ale sprzeczność, jaka zdaje się ich dzielić, jest pozorna.

Zgodni są bowiem co do tego, że zarówno wolność jak i bezpieczeństwo muszą mieć swoje źródło w prawie pozytywnym. W prawie, które zostało nadane przez prawodawcę, a egzekwowane będzie mocą nadaną przez władzę. Zarówno u Locke’a, jak i Hobbesa to państwo jest źródłem i gwarantem, tyle że dwóch innych wartości. Ale to już jest sprawą wtórną – przypomnijmy intuicję Hannah Arendt. Pierwszym krokiem do odebrania jakiegoś prawa, jest skodyfikowanie go. Obie, pozornie konkurencyjne, wizje państwa i prawa, uchylają drzwi, o których pisała Arendt.

Im dalej w las, tym więcej podobieństw. Jeden i drugi, Locke i Hobbes, wychodzą z założenia, że zadaniem państwa jest okiełznanie człowieka. U obu pojawia się konstrukcja stanu natury, z którego człowiek jest wydobywany dzięki prawu stanowionemu przez państwo. Różnica polega tylko na tym, że u Hobbesa stan ten jest dużo bardziej, że tak powiem, ekstremalny. Zgoda między nimi panuje jednak co do tego, że człowiek jest nie tylko zły z natury, ale pozostaje też konstrukcją, mechanizmem. I jako taki może, a nawet powinien on być „sterowany” przez państwo. Całkowicie na drugi plan schodzi jego sumienie, praca wewnętrzna, samodzielne kształtowanie cnoty. Te źródła porządku i harmonii społecznej zostają uznane za zbyt niepewne. Dokładnie tak, jak wcześniej mieszanka rozumu i doświadczenia została uznana za zbyt chybliwy fundament prawa.

**„Ubogich zawsze u siebie mieć będziecie, Mnie zaś nie zawsze”.**

► **Podobnie jak w okresie pandemii rządzący uznali, że nie można zaufać zdrowemu rozsądkowi obywateli. Ich zachowania musiały więc zostać unormowane przez prawo, czy jak pan mówi, wolę rządzących.**

► Jest tu coś jeszcze. Filozofowie, którzy „wymyślili” nowoczesność uznali, że możliwe jest stworzenie ładu całkowicie szczelnego i skutecznego w sprawowaniu kontroli i nadzoru nad człowiekiem. Wykreowanie takiego porządku, który byłby w stanie okiełznać społeczeństwo w sposób doskonały. To jest przekonanie, czy może raczej złudzenie, które zdaje się obce epoce przednowoczesnej. Ład społeczny należało oczywiście udoskonalać, ale zdawano sobie jednocześnie sprawę, że pełna doskonałość jest nieosiągalna. Że ludzkich słabości nie uda się całkowicie wyeliminować.

Jest ta niezwykła historia z Ewangelii według świętego Jana, kiedy to na sześć dni przed męką Maria z Betanii namaszcza Jezusowi stopy olejkim nardowym, bardzo wówczas kosztownym. Judasz Iskariota reaguje oburzeniem, pytając czemu nie sprzedano go za trzysta denarów i nie rozdano pieniędzy ubogim. Na co Jezus odpowiada: „Ubogich zawsze u siebie mieć będziecie, Mnie zaś nie zawsze”.





Fot. Mika Baumeister on Unsplash

► **Bardzo antyutopijna deklaracja.**

► Całkowicie antyutopijna! Z jednej strony zostaje tu powiedziane wprost: doskonałego porządku, takiego w którym nie byłoby bólu ani cierpienia, nie da się stworzyć. Taki świat po prostu nigdy nie będzie istniał. Ale jednocześnie – i to dopowiedzenie jest chyba jeszcze ważniejsze - pozostawiając w swoim życiu miejsce dla Boga, można uczynić świat lepszym miejscem. Te dwie rzeczy – z jednej strony wyzbycie się utopijnych złudzeń, a z drugiej otwarcie na transcendencję, pozostają ze sobą w ścisłym związku. Musiały być więc one zgodnie odrzucone przez nowoczesność.

U Hobbesa i Locke'a Bóg pojawia się niemal wyłącznie jako figura retoryczna. Faktycznie przestaje być obecny. A jeżeli zamykamy się na transcendencję, musimy szukać fundamentu wokół siebie, na tym świecie. W tym miejscu pojawia się nowoczesne państwo. Stąd też zapewne teologiczne tło dzieła Hobbesa (Lewiatan to w końcu potwór występujący na kartach Biblii). Wiąż człowieka z Bogiem zastępuje relacja mechanizmu z tym, który nim steruje.

► **Mechanizm może być przecież nie tylko sterowany, ale i konstruowany. Nie tylko jego ruchy i zachowania, ale i sam kształt może być nadawany z zewnątrz.**

► Zgadza się. I ruch w tę właśnie stronę możemy obserwować na przestrzeni dziejów. Jego skutki są szczególnie widoczne dzisiaj. Pałeczkę od Locke'a i Hobbesa

przejmowali potem Hegel, Marks, w jeszcze większym stopniu Engels, aż do naszych czasów, do myślicieli szkoły frankfurckiej czy przedstawicieli teorii gender. Samo założenie pozostaje niezmiennie. Człowieka można dowolnie kształtować, a porządek - stworzyć. A jeśli stworzyć, skodyfikować – cały czas miejmy z tyłu głowy myśl Arendt, którą cytowałem na początku – to z czasem i odrzucić, wyzwolić się z niego. Nieważne czy chodzi o system ekonomiczny czy tożsamość płciową, reguła działania nie ulega zmianie. To, co zostaje uczynione ludzką ręką, ta sama ręka może potem wyrzucić do kosza.

► **rozmawiał Jan Maciejewski**

**TYMOTEU SZ ZYCH**

Rektor Collegium Intermarium. Doktor nauk prawnych, radca prawny, wiceprezes zarządu Instytutu na rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris. Jego książka poświęcona problematyce pewności prawa została nagrodzona w konkursie „Monografie” Fundacji na Rzecz Nauki Polskiej. Pełni funkcję eksperta w organach doradczych konsultujących politykę władz publicznych w obszarach praw człowieka, wymiaru sprawiedliwości oraz społeczeństwa obywatelskiego.



# UCIECZKA OD WOLNOŚCI PRZYSPIESZA PRZED METĄ.

TENDENCJA DO ZAMORDYZMU NIE NARODZIŁA SIĘ  
WRAZ Z PANDEMIAŁ. I NIE UMRZE Z JEJ KOŃCEM

ŁUKASZ WARZECHA

**Człowiek ma naturalną skłonność do poszukiwania  
bezpieczeństwa i dbanie o nie chętnie zleca  
komuś innemu. Nawet jeżeli dzieje się to kosztem  
jego swobód, a uzyskana korzyść to iluzja.**



Fot. Adli Wahid on Unsplash

**W**olność osobista obywateli jest bez żadnych wątpliwości w głębokim kryzysie. Błędem byłoby jednak przypisywanie tego zjawiska wyłącznie pandemii COVID-19. Osobista wolność jest w defensywie od znacznie dłuższego czasu. To tło trzeba przedstawić, by ujrzeć obecną sytuację we właściwej skali.

Za punkt startowy moglibyśmy uznać pojawienie się nowoczesnych demokracji. W większości krajów miało to miejsce po I wojnie światowej, aczkolwiek nie jest to granica twarda. Można na przykład argumentować, że w dziejach I Rzeczypospolitej, republiki szlacheckiej o niemal unikalnej formie (porównywalnej być może, przy całej swej specyfice, z Republiką Wenecką czy Anglią), koncepcja całkiem nowoczesnej obywatelskiej wolności osobistej istniała od wieków i przejawiała się w takich aktach, jak przywilej jedlnieński-krakowski z lat 1430/33 czy też artykuły henrykowski oraz akt konfederacji warszawskiej, oba z 1573 r.

Umówmy się jednak na potrzeby tego wywodu, że punktem wyjścia rozmowy o zakresie wolności, a już zwłaszcza wolności w Polsce, będzie początek III RP, czyli moment, kiedy udało nam się uzyskać wolność w znaczeniu państwowej suwerenności; a także bardzo duży zakres wolności osobistej, związany z upadkiem opresyjnego systemu komunistycznego, czy może raczej realnego socjalizmu. Jeśli zatem spojrzymy na sprawę z perspektywy 32 lat, jedna rzecz stanie się jasna: gdy idzie o zakres naszych osobistych wolności, obserwujemy ruch wyłącznie w jedną stronę — ku jego zmniejszaniu. Nawet jeżeli zdarzają się pojedyncze regulacje idące pod prąd tej tendencji, to wobec ogólnego trendu nie mają one większego znaczenia, a ich realny wpływ zostaje szybko zrównoważony masą regulacji o przeciwnym wektorze. Polska nie stanowi tu wyjątku — wolność osobista ulega erozji w obrębie całego szeroko rozumianego Zachodu.

## Momenty graniczne

Na przestrzeni owych trzech dekad z okładem mogliśmy wyznaczyć kilka granicznych dat, które wyznaczają kolejne progi intensyfikacji antywolnościowych tendencji. Najpierw zatem były to rok 2001, a konkretnie 11 września, czyli zamachy na World Trade Center i Pentagon dokonane przez Al Kaidę. Polska być może ten moment zwrotny odczuła relatywnie słabo, jednak miał on duże znaczenie globalne: pierwszy raz po 1989 r. przehandlowano tak wiele wolności w zamian za obiecywane przez państwa bezpieczeństwo. Ograniczenia dotyczyły nie tylko podróżowania, lecz również naszej prywatności w ogóle: mowa tu o poziomie inwigilacji ze strony służb. Gdy dzisiaj kolejne z nich — również w Polsce (najnowszy punkt na liście to planowane Centralne Biuro Zwalczania Cyberprzestępczości) — dostają coraz szersze uprawnienia w tej dziedzinie, w uzasadnieniach pobrzmiwają wciąż echa wywodów, które słyszeliśmy 20 lat temu.

W tym wypadku źródłem zmian była konkluzja, że każdego pasażera linii lotniczych, a być może nawet w ogóle każdego, należy traktować jak podejrzanego. Mieliśmy do czynienia z odwróceniem logiki zachodniego systemu prawnego: najpierw zakładamy, że każdy jest potencjalnym bandytą, a dopiero potem eliminujemy z tego grona osoby, których aktywność dowodzi, że są jednak uczciwe. Stąd ogromne kompetencje inwigilacyjne przyznane amerykańskim służbom za sprawą Patriot Act.

Drugi próg to rok 2004, czyli przystąpienie Polski do Unii Europejskiej. Już wcześniej, w ramach procesu akcesji, Polska musiała dostosować swoje prawo do regulacji unijnych. Natomiast po przystąpieniu do Unii jesteśmy zobowiązani do bieżącej implementacji unijnych dyrektyw i rozporządzeń. Unia z kolei w ciągu ostatnich kilkunastu lat głęboko zmieniła swoje podejście i zaczęła coraz mocniej wkraczać swoim ustawodawstwem w przestrzeń osobistej wolności obywateli. Ma to związek między innymi z przyjętą w UE, jako niekwestionowany polityczny dogmat, polityką klimatyczną.

Istnieje tu podobieństwo do uzasadnień związanych z ograniczeniami wolności w czasie pandemii, o czym będę pisał w dalszej części tekstu. Jako uzasadnienie dla bardzo daleko idących restrykcji przedstawia się „wspólne dobro”, czyli „ratowanie planety”. Ten argument ma z założenia zamknąć wszelką dyskusję.

Widzimy tu kontynuację uzasadnienia z poprzedniego wątku. Tam dobrem wspólnym, mającym uzasadniać aprioryczne podejrzenie wobec każdego, było bezpieczeństwo. Tu jest nim klimat, a „podejrzany” — w tym przypadku o szkodzenie klimatowi — jest znów z zasady każdy. Mamy się czuć winni — wywoływaniu tego poczucia służą infantylne tyrady Greta Thunberg albo popularne kalkulatory śladu węglowego. I tak jak w sprawie terroryzmu trzeba było udowadniać własną niewinność, tak samo tutaj trzeba dowieść, że dba się o „planetę” np. poprzez niejedzenie mięsa, nieposiadanie dzieci albo przynajmniej pozbycie się samochodu spalinowego.

Kolejny próg to rok 2015 — wyborcze zwycięstwo Zjednoczonej Prawicy. Pierwszy raz w historii III RP władzę objęła formacja tak wyraźnie etatystyczna i tak konsekwentnie wyznająca ideę paternalizmu państwowego, którą można streścić słowami: „państwo prawie zawsze wie lepiej”. Liczba regulacji wprowadzonych po poprzednich wyborach, ograniczających naszą swobodę decyzji w różnych sprawach, jest bardzo duża. Warto tu przypomnieć choćby ustawę o ziemi, przywrócenie (po krótkim czasie liberalizacji) restrykcji w sprawie wycinki drzew na własnej posesji, zakaz niedzielnego handlu, zakaz sprzedaży tytoniu na odległość, zaostrenie ustawy śmieciowej, regulacja o strefach niskoemisyjnego transportu, konieczność rejestracji kart pre-paid, podatek cukrowy oraz tzw. ustawa inwigilacyjna. Długo by wymieniać.

Tu także widać iunctim z poprzednimi progami. Etatyzm, a już szczególnie ten w wydaniu obecnej władzy, zakłada bowiem, że każdy, kto prowadzi własny interes lub doszedł do czegoś bez pomocy państwa, jest z zasady podejrzany. Na cenzurowanym wylądowali w ten sposób przedsiębiorcy oraz „bogacze”, czyli ci, którzy zarabiają nieco ponad przeciętną.

Opisane wyżej progi ograniczania wolności mają przynajmniej jedną wspólną cechę: opierają się na założeniu skrajnej nieufności wobec ludzi korzystających z przysługującej im wolności. Ta sama logika — tyle że podniesiona na wyższy poziom — rządzi w czasie pandemii. Wszyscy zostaliśmy *a priori* uznani za zakażonych, „terroryzujących” innych naszymi zaraskami. Wypaczono całkowicie klasyczne rozumienie wolności (jako „wolności od”), przekonując, że to nieprzestrzegający restrykcji, a potem niezaszczepieni, odbierają wolność innym. To logiczny absurd, oparty na błędnym rozumieniu wolności jako prawa do czegoś (w tym wypadku do opacznie rozumianego bezpieczeństwa lub po prostu własnego psychicznego komfortu), a nie braku ograniczeń.

Ciekawe też, że ograniczenia najsilniej uderzyły w prywatne biznesy, tak jakby tam wirus szalał najsilniej, ale już tracił zjadliwość na rządowych spotkaniach czy naradach albo w urzędach. Pandemia wzmocniła zatem — i tak już potężny — etatystyczny rozmach obecnej władzy.

## Rachunki i proporcje

W większości przypadków uzasadnienia były identyczne: odwołanie się do szeroko rozumianego bezpieczeństwa, czy to fizycznego, czy zdrowotnego, czy wreszcie ekologicznego oraz podkreślanie, że bezpieczeństwo to jest „dobrem wspólnym”. Generalnie bezpieczeństwo jest najwygodniejszym i najczęściej używanym pretekstem, gdy władza zamierza ograniczyć nasz zakres swobody. Nie ma w tym nic dziwnego — z takim uzasadnieniem najtrudniej dyskutować, a jednocześnie ludzka psychika najłatwiej je akceptuje. Człowiek ma naturalną skłonność do poszukiwania bezpieczeństwa i dbanie o nie chętnie zleca komuś innemu. Nawet jeżeli dzieje się to kosztem jego wolności, a uzyskana korzyść to iluzja. Ten mechanizm to temat zbyt obszerny, by go w tym miejscu rozwijać.

Warto natomiast przyjrzeć się drugiej części uzasadnienia: wspólnemu dobru. Ta konstrukcja myślowa jest wyjątkowo obłudna jako próba uzasadnienia daleko idących ograniczeń obywatelskich wolności, opiera się bowiem na pierwotnie oczywistym założeniu, stanowiącym podstawę każdej instytucji państwowej, lecz znacząco ją wypacza. Owszem, w ramach państwa godzimy się na oddanie jakiejś części naszych swobód, rozumiejąc, że osiągamy w ten sposób dobro przekraczające indywidualne granice. Akceptujemy tym samym pogląd, że zbiorowość tworząca państwo (naród) ma wyższą wartość niż niektóre z naszych osobistych wolności.

Jest to rozumowanie słuszne. Jednak pod warunkiem, że dotyczy spraw fundamentalnych i opiera się na bardzo ostrożnym rachunku, gdzie po jednej stronie znajduje się wspólna korzyść, a po drugiej — indywidualna strata. Zgadza się na przykład, że państwo zajmie się wymierzaniem sprawiedliwych kar za przestępstwa albo wytyczeniem uczciwych i jednakowych dla wszystkich ram prowadzenia biznesu. Tu strata w sferze osobistych wolności jest niewielka, a osiągnięta korzyść wspólna — bardzo duża.

Problem zaczyna się wówczas, gdy zakres spraw obejmowanych pojęciem dobra wspólnego, które ma zostać osiągnięte poprzez ograniczanie naszej wolności, jest powiększany dalece poza podstawowe obowiązki państwa. Lub też gdy państwo najpierw przejmuje odpowiedzialność, w tym finansową, za dane obszary, a później używa tego jako uzasadnienia dla ograniczania naszej wolności. Tak jest w przypadku ochrony zdrowia. Polskie państwo w konstytucji bierze na siebie odpowiedzialność za dostępność usług medycznych

dla każdego w identycznym stopniu, a więc finansuje publicznymi pieniędzmi cały system. To z kolei, w mniemaniu części polityków, daje mu prawo do kreowania poprzez bodźce behawioralne lub wprost zakazy i nakazy pożądanego zachowań, uznawanych w danym momencie za „prozdrowotne”. Skoro bowiem zdrowsi obywatele oznaczają mniejsze wydatki państwa — twierdzą — to dla dobra wspólnego, czyli zmniejszenia obciążeń fiskalnych, mamy prawo bodźcować obywateli w pożądanym kierunku, ograniczając ich wolność osobistą. Jak nietrudno dostrzec, brak tu granicy dla tego typu działań. Jeżeli państwo obłożyło dodatkowym podatkiem słodzone napoje, odwołując się do zdrowia obywateli, może równie dobrze w przyszłości uczynić to samo z dowolnym innym rodzajem pożywienia, które zostanie uznane za niezdrowe. Ba, korzystając z tego typu bodźcowania rządowi specjaliści mogą nam nawet ułożyć jadłospis czy plan dnia, tak aby uwzględniał odpowiednią dawkę „zdrowych” zachowań.

## Swobody obywatelskie tanio sprzedam

Ten wstęp był konieczny, by zająć się szerzej najnowszym etapem, którego początkową granicę wyznaczają pierwsze miesiące 2020 r., czyli wybuch pandemii COVID-19. Od tego momentu erozja osobistej wolności nabrała potężnego przyspieszenia. W ciągu mniej więcej półtora roku regres w tej sferze jest być może większy, niż w ciągu całej wcześniejszej dekady. Wprowadzając ograniczenia odwoływano się do opisanych wyżej pretekstów, które w obliczu zagrożenia epidemicznego nabrały dodatkowej wiarygodności i przez wiele osób były akceptowane bez jakichkolwiek zastrzeżeń.

Zacznijmy od najbardziej podstawowej i naturalnej wolności obywatelskiej: swobody przemieszczania się. To właśnie ona została drastycznie ograniczona na samym początku epidemii, gdy w Polsce wprowadzono właśnie zakaz przemieszczania się (sprzeczny zresztą z prawem, jak pokazują zapadające przez cały czas wyroki). Interesująca była reakcja części obywateli, o której dziś wielu już nie pamięta: mnóstwo osób, w tym również celebrytów czy osób publicznych, powieliło i podpisywało się pod hasztagiem *#zostańwdomu*, w pełni akceptując utratę tej podstawowej wolności i twierdząc zarazem, że jest to jednorazowy wysiłek, który potrwa może około miesiąca i na tym epidemia się skończy. Z perspektywy półtora roku widzimy, jak mylnie było to przekonanie. Ówczesna nadzieja na błyskawiczne zlikwidowanie problemu pod warunkiem, że ludzie podporządkują się i poświęcą na krótki czas jedną ze swoich podstawowych swobód, jest obecnie raczej powodem do wstydu.

Polska nie jest tu jednak przykładem ekstremalnym, bo chociaż zakaz był uciążliwy i bezprawny, w radykalnej postaci nigdy już nie powrócił i — miejmy nadzieję — nie powróci w przyszłości. Są jednak państwa, w których jest on wciąż przywracany i uzasadniany potrzebą całkowitego zwalczania epidemii. Takim krajem jest choćby Australia, gdzie największe miasta — Sydney

i Melbourne — już kilkakrotnie były całkowicie zamknięte (włącznie z bardzo restrykcyjnie traktowanym zakazem przemieszczania się) z powodu pojawienia się zaledwie kilku nowych przypadków zakażeń. I nic nie wskazuje na to, żeby władze tego kraju miały zrezygnować z takiej strategii. Zakazy przemieszczania się funkcjonowały zresztą w wielu państwach. W niektórych — np. we Francji — warunkiem wyjścia z domu było wypełnianie specjalnych formularzy.

W tej samej kategorii ograniczeń dotyczących naszych codziennych zachowań i oczywistych, wydawałoby się, związanych z tym wolności można wymienić takie nakazy jak trzymanie społecznego dystansu czy zakrywanie twarzy. To ostatnie jest nie tylko symboliczne — twarz w masce staje się znakiem początku trzeciej dekady tego wieku — ale wywiera też ogromny wpływ na relacje społeczne. Maską, zakrywając połowę twarzy, poważnie utrudnia komunikację niewerbalną, będącą jednym z najważniejszych kanałów przekazywania sobie emocji między ludźmi.

Drugi zbiór ograniczeń dotknął wolności gospodarczej. Trudna do oszacowania liczba biznesów — również w Polsce — została zmuszona przez rządy do zaprzestania działalności lub nałożono na nie ograniczenia, które tę działalność uczyniły nieopłacalną. Pamiętać zaś trzeba, że wolność prowadzenia działalności gospodarczej powinna być jedną z podstawowych cech zachodnich demokracji. W naszym kraju jest zaliczana do podstawowych wolności konstytucyjnych, jest więc tak samo istotna jak wolność zgromadzeń, kultu religijnego czy przemieszczania się.

Niektóre państwa starały się wynagrodzić przedsiębiorcom problemy; było tak częściowo również w Polsce. Jednak system świadczenia pomocy okazał się w wielu punktach uciążliwy i wadliwy. Przedsiębiorcy, którzy nie podporządkowywali się restrykcjom, byli nękanymi, nierzadko w brutalny sposób. W Polsce do otwartych w czasie lockdownu lokali (punkty gastronomiczne miały zakaz stacjonarnej działalności przez ponad pół roku) wysyłano nierzadko wręcz groteskowo liczne oddziały policji, które uciekały się do zastraszania klientów i właścicieli. Zaznaczyć trzeba, że ta wolność ograniczana była całkowicie arbitralna, bez faktycznych uzasadnień i z pogwałceniem wszelkiej logiki.

Ucierpiała również wolność zgromadzeń. I znów — jest to jedna z podstawowych demokratycznych swobód. Ograniczenia w zgromadzeniach wprowadzono niemal we wszystkich krajach Zachodu, w tym w Polsce. Przez długi czas zakazane było organizowanie jakichkolwiek zgromadzeń, a gdy to ograniczenie wreszcie zniesiono, aż do połowy czerwca zabronione było najpierw organizowanie, a później nawet uczestnictwo w zgromadzeniach spontanicznych.

Ten zakaz miał swoje drugie dno. Oficjalnie służył zapobieganiu rozprzestrzenianiu się wirusa, dodatkowo zaś umożliwiał rządowi ostre reagowanie na jakiegokolwiek protesty przeciwko samym ograniczeniom. Paradoksalnie: zabroniono gromadzenia się — w proteście przeciwko zakazowi gromadzenia się. Gromadzenie się w celu wspólnego protestu czy przedstawienia jakichś

postulatów jest zaś bardzo ważną formą wyrażania przez obywateli swoich poglądów, lecz ma i dwa inne wymiary. Po pierwsze — pozwala policzyć się ludziom o podobnych zapatrywaniach, co daje im siłę i zapęd do wytrwania przy nich oraz przekonuje, że warto się ich trzymać. Po drugie — jest to sposób wywierania presji na rządzących, aby zmienili swoje decyzje.

## Ministerstwo Prawdy w akcji

Swoboda gromadzenia się i demonstrowania jest jedną z odmian wolności słowa, a ta doznała przy okazji pandemii ogromnych szkód. Nie żeby oparta o kryteria politycznej poprawności cenzura nie istniała wcześniej. Zakusy, aby ją wprowadzać, przede wszystkim w sieci, w tym w najważniejszych mediach społecznościowych, dawno już zmieniły się w konkretne działania. Jednak epidemia przeniosła tę tendencję na nowy poziom. Teraz sekowane miały być poglądy „sprzeczne z aktualną wiedzą naukową”, jak to zwykle ujmowano. To kryterium w kontekście epidemii COVID przenosi nas już całkowicie w świat rodem z „Roku 1984”. Jak pamiętamy, główny bohater powieści George’a Orwella, Winston Smith, pracował w Ministerstwie Prawdy, którego zadaniem było dostosowywanie archiwalnych źródeł do aktualnych wymogów politycznych, a więc działalność dokładnie odwrotna niż mogłaby świadczyć nazwa resortu.

W przypadku pandemii „aktualna wiedza naukowa” zmienia się również zgodnie z wymogami politycznymi, a dzieje się tak, ponieważ w istocie żadnego jednolitego i ostatecznego „stanowiska nauki” w żadnej z istotnych spraw nie ma. Nie ma zgody i ostatecznej prognozy co do przyszłego przebiegu epidemii (czy wirus będzie łagodniał czy przeciwnie), co do trwałości i poziomu odporności uzyskiwanej przez przechorowanie, co do trwałości odporności uzyskiwanej dzięki szczepionkom oraz ich zdolności do radzenia sobie z kolejnymi wariantami, co do zapobiegania transmisji wirusa poprzez szczepienia, co do skuteczności działań takich jak nakaz noszenia maseczek, przede wszystkim zaś co do skuteczności tzw. NPI (*non-pharmaceutical interventions*, czyli m.in. lockdownów). Wynikałoby z tego, że całkowicie uprawniona i dopuszczalna powinna być dyskusja na wszystkie te tematy. A trzeba tu zauważyć, że walka z epidemią obejmuje i oddziałuje praktycznie na wszystkie dziedziny naszego życia — od zdrowia psychicznego, poprzez edukację, finanse i gospodarkę, na ochronie zdrowia kończąc. To oznacza, że bezzasadne jest ograniczanie prawa do brania udziału w tej debacie jedynie do lekarzy czy ekspertów medycznych. Wręcz przeciwnie: ich ogląd sytuacji jest na ogół (istnieją chlubne wyjątki) na tyle wąski, że kierowanie się jedynie, a nawet przede wszystkim ich opiniami byłoby szkodliwe.

Niestety, sprawy poszły w dokładnie odwrotnym kierunku, i to tak radykalnie, że bez żadnej przesady można mówić o covidowej cenzurze oraz nękanii osób

ośmielających się mieć inne zdanie. W Polsce przybrało to bardzo konkretny, instytucjonalny wymiar w postaci wzywania „niepokornych” lekarzy na przesłuchania przed Naczelną Izbę Lekarską. W sferze mediów najbardziej spektakularnym przejawem cenzury było zdjęcie z anteny programu Jana Pospieszalskiego „Warto Rozmawiać” po tym, jak do jednego z wydań zaprosił gości niepowielających oficjalnej linii. Końcem sierpnia TVP ogłosiło, że program na antenę już nie wróci.

W mediach społecznościowych, w tym dwóch najważniejszych — na Facebooku i Twitterze — częste stały się zawieszenia kont osób publikujących poglądy niezgodne z restrykcyjną linią epidemiczną. Przy czym mowa tu o użytkownikach trzymających się wszelkich standardów debaty, a nie o trollach powielających całkowicie antynaukowe tezy (jeśli w ogóle uznalibyśmy, że rolą właścicieli mediów społecznościowych jest wdrażanie jakichkolwiek działań cenzorskich).

Polskie media dokonały czegoś na kształt autocenzury. W najważniejszych spośród nich, zarówno po stronie sprzyjającej władzy jak i jej przeciwnej, przyjęto jeden kurs, nie dopuszczając właściwie głosów odrębnych. Przy czym istnieją tu szczęśliwie luki. Głosy z różnych stron można wciąż spotkać w Polsce czy przeczytać w dzienniku „Rzeczpospolita”. Swoją własną kurs trzyma tygodnik „Do Rzeczy”.

Niestety, ze strony polityków pojawiały się nawoływania, całkiem wprost, do wprowadzenia otwartej cenzury. Klub Lewicy w 2020 r. zaprezentował projekt ustawy przewidującej karanie za wyrażanie poglądów „sprzecznych z wiedzą naukową”, a przedstawiciele rządu z ministrem Niedzielskim na czele dążyli do wykluczenia z debaty osób o odmiennych zapatrywaniach niż te wyrażane przez władzę. Szef resortu zdrowia podczas spotkania senackiej komisji zdrowia w listopadzie ubiegłego roku dziękował prof. Andrzejowi Matyi, prezesowi NIL, za zapowiedź „przesłuchiwanie” lekarzy ośmielających się mieć inne zdanie w sprawie polityki epidemicznej. Jak już wspomniano, prof. Matyja słowa dotrzymał.

## Zakazy i podziały

Kolejna sfera, w której epidemia uderzyła w naszą wolność, to swoboda sprawowania kultu religijnego. Szybko okazało się, że restrykcje epidemiczne są dla lewicy doskonałym pretekstem do uderzenia w Kościół. Gdy tylko pojawiły się pierwsze ograniczenia, lewicowi komentatorzy oraz politycy zaczęli pytać: a co z kościołami? Dlaczego tam ograniczeń nie ma?

Te szybko się pojawiły — niestety, niejednokrotnie przy entuzjastycznej wręcz akceptacji kapłanów. Dwukrotnie już Wielkanoc — najważniejsze chrześcijańskie święto — odbywała się w warunkach epidemicznych restrykcji, niszczących tradycję święcenia pokarmów. Rząd przez niezrozumiałe długi czas utrzymywał

radykalne restrykcje dotyczące liczby wiernych w świątyniach i złągodził je dopiero po ostrym apelu przewodniczącego Konferencji Episkopatu ks. abp. Stanisława Gądeckiego. Jednak jednym z symboli czasu epidemicznego pozostaną zamknięte drzwi kościołów.

Rok 2021 przyniósł nowy rozdział antywolnościowych tendencji za sprawą pojawienia się szczepionek, a wraz z nimi instytucji unijnego certyfikatu sanitarnego, zaraz potem zaś — wprowadzania w kolejnych państwach systemów coraz brutalniejszego nacisku na niezaszczepionych. Szczepienie lub ewentualnie test (zwykle ważny jedynie przez jedną albo dwie doby i wykonywany na koszt obywatela) stały się w wielu państwach — przoduje w tej kwestii Francja — warunkiem korzystania z podstawowych usług. Do tego doszło obowiązkowe szczepienie dla niektórych grup zawodowych. W momencie powstawania tego tekstu żadnego z takich rozwiązań w Polsce jeszcze nie wprowadzono, ale głośno opowiada się za nimi wiele środowisk. Poza większością opozycji, także były wicepremier Gowin, deklarujący się jako gorący zwolennik segregacji sanitarnej na wzór francuski, czy Rada Medyczna przy premierze, domagająca się wprowadzenia obowiązkowych szczepień dla grup zawodowych tak szerokich jak pracownicy sklepów wielkopowierzchniowych. Do Sejmu ma też trafić poselski projekt ustawy uprawniającej pracodawców do żądania od pracowników informacji o zaszczepieniu, a także przesuwania niezaszczepionych na inne stanowiska, co może prowadzić do dyskryminacji w miejscu pracy jedynie na podstawie kryterium szczepienia. Wszystko to przy pojawiających się badaniach (najnowszy raport amerykańskiego CDC) wskazujących, że szczepionka nie powstrzymuje transmisji wirusa.

Segregacja sanitarna jest uderzeniem w samą istotę jednej z podstawowych zasad demokratycznego państwa prawa, które zakazuje różnicowania statusu i praw obywateli między innymi na podstawie stanu zdrowia. A w tym przypadku, zauważmy, nawet nie o stan zdrowia chodzi, bo fakt braku przyjęcia szczepionki nie jest przecież równoznaczny z chorobą, podobnie jak zaszczepienie nie równa się gwarancji, że nie ulegnie się zakażeniu.

Segregacja sanitarna wzbudza ogromny opór. Demonstracje we Francji, w samej tylko stolicy, zbierały kilkakrotnie po ponad 100 tys. osób. Przeprowadzony w Polsce dla Wirtualnej Polski sondaż pokazał z kolei, że choć ponad 53 proc. badanych zgodziłoby się na jakieś ograniczenia dla niezaszczepionych, przeciw zaś było 41 proc., to żadne z zaprezentowanych w badaniu szczegółowych rozwiązań (m.in. zakaz wstępu do centrów handlowych, zakaz korzystania z pociągów czy instytucji kultury) nie znalazło poparcia większości.

Proces erodowania wolności ma niestety tę samą naturę, co wiele innych procesów społecznych — jest najpewniej jednokierunkowy. Jeżeli przyjmiemy że ewolucja społeczna ma generalnie przebieg sinusoidalny — biegnie w jakimś jednym kierunku aż do swojego apogeum, by dopiero po jego osiągnięciu odwrócić kurs i zmierzać ku perygeum — trudno sobie



Fot. Gene Gallin on Unsplash

wyobrazić, by antywolnościowe rozwiązania wprowadzone przy okazji epidemii były zasadniczo odwracalne. Nawet jeśli niektóre z nich z czasem znikną, część pozostanie. A przede wszystkim zostanie z nami przekonanie, że wolność można radykalnie ograniczyć korzystając z bardzo wątpliwego pretekstu.

#### ŁUKASZ WARZECHA

(1975) publicysta tygodnika „Do Rzeczy”, oraz m.in. dziennika „Rzeczpospolita”, „Faktu”, „SuperExpressu” oraz portalu Onet.pl. Autor bloga na stronie wolnorynkowego think-tanku Warsaw Enterprise Institute. Gospodarz programów interentowych „Polska na Serio” oraz „Podwójny Kontekst” (z prof. Antonim Dudkiem). Od 2020 r. prowadzi własny kanał z publicystyczny na YouTube. Na Twitterze obserwowany przez ponad 100 tys. osób.



POLITYCZNY ANALFABETYZM  
W CZASACH COVID-19.  
O POROZUMIENIE PONAD  
SKRAJNOŚCIAMI

TOMASZ ROWIŃSKI

**Zarówno „wolnościowcy” jak i „sanitaryści”, „covidianie” i „covidoci” nie uznają proporcjonalności stosowanych środków do zakładanych celów. Nie respektują ryzyka i ograniczonego dostępu do wiedzy, w jakim w okresie pandemii działamy wszyscy. Zarówno obywatele jak i rządzący.**



**Dobro całości jest ważniejsze niż dobro części. Dlatego sprawą zapobiegliwego rządcy jest niezwracanie uwagi na brak jakiegoś dobra częściowego, aby wzrosło dobro całości.**

**- S. contra Gent. III, 71**

Czy istnieje wyjście ze społecznych sporów jakie wygenerowała pandemia Covid-19? Czy możemy wy dostać się z tożsamościowej wojny, która została już obradowana różnymi hasłami jak “covidianie”, “covidoci”, “wolnościowcy”, “sanitariusi”. Sprawa ta ze swej natury nie może być prosta. Składa się na nią wiele elementów, takich jak ocena zagrożenia samej choroby, skuteczności środków zapobiegawczych czy wdrożonego procesu wyszczepienia społeczeństwa. A to przecież nie wszystko, spór dotyczy także zakresu prerogatyw państwa do ograniczania wolności obywatelskich. To znów przekłada się na szczegółowe dyskusje: czy władza państwowa może nakazać noszenie maseczek, ograniczać swobodę działalności społecznej i ekonomicznej, tak jak to robiła w czasie lockdownów, wprowadzić przymus szczepień i różne formy poszczepiennej segregacji?

Problemem każdego z tych wątków jest fakt, że należałoby rozpatrywać je osobno i opracowywać specjalistycznie na poziomie badań klinicznych, systemu zdrowia narodowego, analiz konstytucyjnych. Tymczasem opinia publiczna w czasach mediów społecznościowych bardzo szybko petryfikuje stanowiska, zadowolając się narracjami jakie sama wytwarza. You Tube nieustannie kreuje autorytety wewnątrz poszczególnych “tożsamości”, a w ich głosie trudno odróżnić prawdę od fałszu i właściwy kontekst podawanych informacji, którym się często manipuluje. Zamieszanie wywołane permanentnym stanem faktycznej dezinformacji zmienia sprawę pandemii w kolejny element “polityki tożsamości”, gdzie wybór stanowiska przeważnie nie zależy od tego, jak sprawy mają się w rzeczywistości, ale raczej w jaki sposób ludzie organizują się wokół emocji generowanych przez idee.

## **Cichy sojusz egoizmów**

Charakterystyką tych - często dość irracjonalnie konstruowanych tożsamości - jest niska samorefleksyjność i bliski zeru poziom wewnętrznej krytyki. Dlatego współczesne tożsamości, także te związane z pandemią, przybierają charakter stanowisk quasi-metafizycznych czy też quasi-moralnych, w których w uprzedzający sposób poddaje się negatywnej ocenie przedstawicieli innego światopoglądu. By nie sięgać po skrajne głosy tożsamościowców, zalewające Internet, wystarczy przywołać opinie wyrażone przez centralne postacie naszego życia publicznego.

**Spółeczeństwo istnieje dla człowieka a nie człowiek dla społeczeństwa.**

**- Divini redemptoris**

“Odmowa szczepienia to nie jest kwestia wolności jednostki, a osoby, które powołują się na wolność w kontekście szczepień, może nieświadomie, odwołują się do tezy, iż «człowiek człowiekowi wilkiem». To skrajny egoizm. Granicą wolności są prawa innych ludzi. Nie wolno innym narażać na pozbawienie zdrowia czy życia” - mówił w wywiadzie dla Polskiej Agencji Prasowej Jarosław Kaczyński 8 sierpnia tego roku. Z kolei abp. Stanisław Gądecki w tekście opublikowanym na portalu Katolickiej Agencji Informacyjnej wyraźnie wzmocnił krytyczne stanowisko Kościoła katolickiego w Polsce wobec polityki sanitarnej rządu pisząc: “Rządy z przeszłości nigdy nie ośmieliły się nałożyć na Kościół tak drastycznych zakazów, okazując w ten sposób znikomy respekt dla Kościoła i jego roli w życiu społecznym”.

Podaję te przykłady nie dla dezawuowania uprawnień w debacie publicznej głosów obu autorów - premier Kaczyński argumentuje za tym, co uważa za słuszne w sprawie zdrowia publicznego, a abp Gądecki pyta o właściwe granice władzy państwa i Kościoła w nowej sytuacji oraz adekwatność obostrzeń wobec prawa do wolności religijnej. Retoryczne wzmocnienia odwołujące się do presji moralnej także są czymś zwykłym. Jednocześnie obie wypowiedzi doskonale wpisują się w powstałe narracje - słowa arcybiskupa chętnie „przygarną” ci, którzy w czasie pandemii odkryli, że to polskie państwo jest ich największym wrogiem, słowa wicepremiera z kolei ludzie, którzy chętnie rozpętaliby kampanię segregacyjną. Marginalizowali w społeczeństwie niezaszczepionych jako nosicieli zarazy. Właśnie przed tego typu alternatywami stawia nas debata publiczna, która toczy się dziś znacznie szerzej niż w mediach głównych nurtów. Także katolicy - nagle - podzielili się na radykalnych libertarian walczących z państwem i swego rodzaju totalitarystów, którzy oddaliby państwu pełną władzę nawet nad sumieniami, byle zachować poczucie bezpieczeństwa. Oba stanowiska - skrajne, ale będące orientacyjnymi punktami debaty - nie uznają żadnej proporcjonalności stosowanych środków do zakładanych celów, nie respektują ryzyka i ograniczonego dostępu do wiedzy w jakim działają obywatele, ale i państwo. Obie tożsamości są też mocno indywidualistyczne. Ich indywidualizm polega na utożsamieniu dobra wspólnego z dobrem partykularnym, przyjmowanym według subiektywnych założeń eksperckich. Te zaś zwykło się traktować jako nieomyślne.

## **Dajmy szansę sumieniu**

Od razu dodam: nie ma żadnej trzeciej drogi pomiędzy zwierającymi się tożsamościami, żadnej adekwatnej “trzeciej tożsamości”, której moglibyśmy się łatwo

trzymać. Złagodzeniem nowoczesnego problemu mogłoby być jedynie ponowne odkrycie tego, czym jest polityka. W demokracji liberalnej została ona w zasadzie wyparta przez publiczną przemoc pomiędzy frakcjami, ich autorytetami i ośrodkiem władzy. Tak spełniło się mimowolne proroctwo, jakie Tomasz Hobbes zawarł w „Lewiatanie”, swoim wykładzie filozofii politycznej, konstruując tam błędną koncepcję stanu natury. „Wojna wszystkich ze wszystkimi” nie jest punktem wyjścia dla ludzkich społeczeństw, jak pisał Hobbes - nigdy takiego stanu nie było, za to istniały wspólnoty naturalne. Wojna taka jest punktem dojścia. Czeka ona każde społeczeństwo, w którym ład publiczny gwarantowany jest tylko siłą. A na tym właśnie polega propozycja Hobbesa. Niekoniecznie chodzi o przemoc fizyczną, ale np. o mobilizację emocji. I nie jest zaskakujący fakt, że katolicy, w swojej masie, właściwie nie potrafią zajmować stanowiska odrębnego od ogarniających świat indywidualistycznych narracji. Tak po prostu, na masową skalę działa - jak pisał filozof Gustave Thibon - fizjologia społeczna.

Nie ma też prostej odpowiedzi na relatywistyczną przemoc informacyjną. Jednak fakt, że elity katolickie nie poddają rzeczywistości analizie z perspektywy tradycji politycznego myślenia, które można znaleźć np. w Kompendium Nauki Społecznej Kościoła czy w myśli św. Tomasza z Akwinu, nie starają się dać sumieniom swoim oraz swoich odbiorców większej wolności od ideologii, równocześnie ofiarując społecznościom narzędzia do samodzielnego rozstrzygania spraw - jest już bardzo niepokojącym zjawiskiem.

Kiedy patrzymy na politykę z perspektywy „przeciągania liny”, jej założeniem będzie „pójście jak najdalej”. Czysto praktyczne podejście do problemu odpowiedzialności politycznej sprawia, że w nieświadomiony sposób przyjmujemy najgorsze założenia liberalnej przemocy, która co do zasady sprowadza się do próby narzucenia wszystkim partykularnego stanowiska jednej z frakcji. Dlatego lepiej jest wyjść od dobrej teorii polityki, która ustawi nas poza schematem narracyjnych plemion. Nie znaczy to, że polityka nie zawiera w sobie elementu siłowej gry - owszem, jej fizyka jest często brutalna. Ale chodzi o to, by rzeczywiście była nastawiona na możliwie bliskie prawdy rozpoznanie dobra wspólnego. W Kompendium Nauki Społecznej Kościoła czytamy w punkcie 164: „Dobro wspólne nie jest prostą sumą partykularnych dóbr każdego podmiotu w wymiarze społecznego organizmu. Należąc do wszystkich i do każdego, dobro to jest i pozostaje wspólne, ponieważ jest niepodzielne i można je osiągać, pomnażać i chronić tylko razem, tylko z uwagi na przyszłość”. W punkcie 167 czytamy natomiast, że „nikt nie jest zwolniony z obowiązku współpracy, stosownie do swoich możliwości, na rzecz jego osiągnięcia”. Jednak szczególna rola spada na państwo, o czym mówi punkt 168: „Odpowiedzialność za realizację dobra

wspólnego, oprócz pojedynczych osób, należy do państwa, ponieważ dobro wspólne jest racją istnienia władzy politycznej”.

## **(Nie)posłuszeństwo obywatelskie**

Czy to znaczy że władza nie może być krytykowana? W żadnym razie. Chodzi o to, że rządzący - inaczej niż publicyści, aktywiści i użytkownicy mediów społecznościowych - ponoszą rzeczywistą odpowiedzialność polityczną, która waży znacznie więcej, niż słowa publikowane w Internecie czy drukowane w gazetach. Odpowiedzialność nie może być skutecznie realizowana bez uznania jej prawomocności, zatem i na krytykach ciąży zadanie rozpoznawania nie tylko cząstkowych racji w politycznych sporach, ale dynamiki oraz ciśnienia, w jakich działa demokratyczna władza. Warto pytać, czy w imię dobra wspólnego nie jesteśmy rządowi winni posłuszeństwa - jeśli tylko nie przymusza ono nas do jawnego zła, łamania sumienia, do grzechu? Mówiąc szczerze nie mam przekonania do wielkiej skuteczności noszenia maseczek, jednak nie widzę powodu by uważać, że mam lepsze rozeznanie polityczne w sprawie obostrzeń sanitarnych od państwa, działającego w czasie pandemii w sytuacji wysokiego ryzyka i odpowiedzialności. Gdybym nawet miał rację co do nieskuteczności maseczek, opinia ta nie jest wystarczającym, jak sądzę, powodem by praktycznie kontestować ład państwowy. Czymś na miejscu jest polemika z działaniami rządu w duchu konstruktywnej opozycji, jednocześnie trudno określić mianem roztropnych akty kontestacji władzy państwowej czy też głoszenie opinii, które z powodu szczegółowych rozstrzygnięć, jakie podejmuje rząd, podważają en bloc autorytet państwa.

Podobnie rzecz ma się np. z wolnością religijną, która ze względu na dobro wspólne może być proporcjonalnie ograniczona. Przykładem działania w duchu dobra wspólnego był czerwcowy list abp. Gądeckiego do premiera Mateusza Morawieckiego: „Dzisiaj, wobec diametralnie innej i zdecydowanie lepszej sytuacji epidemicznej, wyrażam mój stanowczy sprzeciw wobec dalszego – tak drastycznego – ograniczania prawa wiernych do publicznego wyznawania i praktykowania wiary” - pisał przewodniczący Komisji Episkopatu Polski. „Takie instytucje jak teatry, opery, filharmonie, kina mogą prowadzić swoją działalność w pomieszczeniach zamkniętych przy udostępnieniu widzom 50 proc. liczby miejsc. W przypadku transportu zbiorowego dopuszczalne jest nawet 75 proc. obłożenia. Wydaje się, że zmniejszenie restrykcji w odniesieniu do kościołów i innych miejsc kultu do koniecznego minimum, które spełniałoby wymagania bezpieczeństwa sanitarnego, dowodziłoby poszanowania konstytucyjnego prawa do wolności religijnej, widocznego dotychczas w działaniach władz RP w związku z pandemią” - dodawał arcybiskup. Na takich dyskusjach polega właśnie debata



# COVID-19

Fot. Adam Nieścioruk on Unsplash

polityczna. Zapewne inaczej należałoby działać w sytuacji niezasadnionego i całkowitego lockdownu religijnego, który np. ma miejsce w Irlandii.

Trzeba też spojrzeć na to z drugiej strony - czy polska wspólnota polityczna stoi przed tak poważnym zagrożeniem z powodu pandemii, że państwo powinno całkowicie odmawiać obywatelom możliwości podejmowania indywidualnego ryzyka? Stosować przymus szczepień czy tworzyć system segregacji (który zresztą świetnie rozwija się sam z siebie dzięki mediom społecznościowym i wrogości pandemicznych światopoglądów)? Ważenie dobra i wiążącego się z decyzjami ryzyka jest elementem myślenia politycznego, które powinien brać pod uwagę każdy z nas. Elementem polityki jest także akceptacja faktu, że mogą zostać popełnione błędy - np. skala zagrożenia może być przewartościowana i mobilizacja państwa okaże się przesadna. Tego typu błąd jest jednak mniejszy niż niedoszacowanie zagrożenia. Możliwość pomyłki należy

kalkulować tak, by powodowała ona jak najmniej szkód. Tego nie biorą pod uwagę ani "libertarianie", ani "totalitaryści", którzy myślą swoją partykularną pewność z polityką, ta zaś jest złożoną i empiryczną sztuką działania na rzecz porządku moralnego i materialnego.

## TOMASZ ROWIŃSKI

(1981) historyk idei, publicysta, redaktor kwartalnika „Christianitas”, publicysta tygodnika „Do Rzeczy”, autor książek. Opublikował m. in. „Bękarty Dantego. Szkice o zanikaniu i odradzaniu się widzialnego chrześcijaństwa” (2015), „Królestwo nie z tego świata. O zasadach Polski katolickiej na podstawie wydarzeń nowszych i dawniejszych” (2018), a także wydane z Pawłem Miliarkiem szeroko komentowane zbiory rozmów „Alarm dla Kościoła. Nowa reformacja?” (2020) oraz „Non Possumus. Niezgoda, które uczy Kościół” (2021).



# POST SCRIPTUM



# NIGDY NIE BĘDZIESZ SZEDŁ SAM.

## O MAKSYMILIANIE KOLBE, SOHRABIE AHMARIM I NIEPRZERWANEJ NICI TRADYCJI



JAN MACIEJEWSKI

© Dennis Jarvis, flickr.com

**C**o musi się stać, by wystrzelił pocisk? Zanim palec pociągnie spust, jak wiele par rąk będzie się uwi-  
jać wokół skomplikowanego mechanizmu? Na-  
ciągać sprężyny, wkręcać śrubki, wytwarzać amunicję,  
pakować ją – najpierw do pudełek, a potem przekła-  
dać do magazynku. A pistolet trzeba przecież jeszcze  
konserwować: regularnie rozkładać, czyścić i składać  
z powrotem. A przecież w kluczowej chwili nadal może

zawieść. Do końca nie można być go pewnym, zwolnić  
choćby na moment bezpiecznik, bo zamiast w nieprzy-  
jaciela trafimy sobie w kolano. Nawet godziny spędzone  
na strzelnicy nie są żadną gwarancją, to tylko trochę  
większa szansa – niepewność wciąż ta sama. Zanim wy-  
strzeli pocisk, przez setny ułamek sekundy przemierzy  
swoją drogę, miną całe dni, tygodnie. Ścieżki prowadzą-  
ce na miejsce pojedynku liczą setki, tysiące kilometrów.

Kto ich nie przeszedł – albo skrócił sobie dystans idąc na skróty - ten w chwili próby okaże się bezbronny.

Obchodzimy w tym roku osiemdziesiątą rocznicę jednego z najważniejszych pojedynków w historii świata. Na ubitej ziemi placu apelowego KL Auschwitz zmierzyli się bezbronny franciszkanin i najsilniejsza w tamtej chwili armia świata. Gestapowiec, którego nazwiska na dobrą sprawę już nikt nie pamięta, był tylko jej heroldem. Silnym oddechem milionów stojących za jego plecami żołnierzy. Tysiący samolotów i czołgów, setki łodzi podwodnych. A jednak to ten drugi, Maksymilian Kolbe, wygrał pojedynek. Nagiał wolę Tysiącletniej Rzeszy, złamał jej linie obronne, postawił na swoim. A huk wystrzału, jakim był tamten dialog, słysząc do dzisiaj.

Dotarł on również do uszu Sohraba Ahmariego, urodzonego w Teheranie nowojorczyka. Redaktora naczelnego „New York Post”, byłego felietonisty „Wall Street Journal”. Człowieka, który ze swoją biografią, talentem i kontaktami mógł spokojnie piąć się po liberalnej drabinie prestiżu. Ale trafił go pocisk wystrzelony przez Kolbego. Nawrócił się na rzymski katolicyzm, a swemu synowi nadał na chrzcie imię Maksymilian. A w maju 2021 roku ukazała się książka, w której próbuje zrozumieć wszystko, co się stało. Wtedy, w Auschwitz i teraz, w jego życiu. „Nierozzerwana nić. Odkrywanie zalet tradycji w epoce chaosu” nie jest kolejną pozycją w irytującej serii „Dobre życie – zrób to sam”. Przynajmniej wszystkim dlatego, że jest opowieścią o tym, że w pojedynkę nie da się tego osiągnąć. Trzeba związać się w pasie nierozrwaną nicią Tradycji. Mądrości o tysiącu twarzy. Świętych i myślicieli, pisarzy i mistyków. I usłyszeć wspólną, wydobywającą się z tych wszystkich ust melodię. Ciągnącą się od tysięcy lat, a tak naprawdę nie mającą początku ani końca. Tradycja to nie kakofonia cytatów ani chaos erudycji. To pieśń, którą usłyszeli ci najwięksi – od Akwinaty po Tolkiena – i próbowali przełożyć na nuty własnych myśli. Dlatego Tradycja, jeśli jest nią tylko naprawdę, nie może skostnieć. Jest żywa – podobnie jak drzewo, kwiat czy ludzkie ciało – dopóki nie zostanie przecięta.

Tym, którzy nie potrafią sobie wyobrazić życia wędług i w zgodzie z nią, wydaje się liną, która krępuje, unieruchamia ciało. Nie widzą, że po opasaniu się nią, daje się zarzucić w któryś ze skalnych ustępów – miejsce i czas, w jakich przyszło nam żyć - i rozpocząć dzięki niej wspinaczkę. W górę, do Nieba.

To wszystko co pisze Ahmari, cała ta wędrówka po kolejnych splotach nieprzerwanej nici Tradycji, ma swoją wagę i puls ze względu na jedno, jedyne zdanie z przedmowy do jego książki. To, gdzie pisze o pragnieniu męczeństwa jakim żył Maksymilian Kolbe. I swoim przerażeniu na myśl, iż jego syn, również Maksymilian, może pragnąć czegokolwiek innego. Naprawdę piękne – jak tolkienowska Galadriela - może być tylko to, co jednocześnie jest choć trochę straszne. A to zdanie Ahmariego jest naprawdę przerażające. Każdy, kto choć raz musiał towarzyszyć swojemu dziecku podczas wizyty u dentysty, odkażał mu obtarte kolano, wie doskonale że fizyczne cierpienie

jego ciała jest przez nas odczuwalne dużo bardziej niż nasze własne. Że samemu wolałoby się wbić sobie to cholerne wiertło w środek nieznieczulonego trzonowca, niż słuchać jego płaczu. Chcemy więc dzieciom zaoszczędzić przykrości, a mielibyśmy marzyć o ich męczeństwie? W tym paradoksie jest całe szaleństwo chrześcijaństwa. Impuls, który kazał żyć tak, jakby miało się umrzeć jeszcze dzisiaj, a budować miasta jakby miały przetrwać tysiąclecia. Miłość, która Bogu kazała posłać swojego Syna na mękę. I czy przestał on choć trochę być wtedy Ojcem, czy nie przypadkiem stał się nim przez to jeszcze bardziej?

## **Pamiętają państwo tę scenę w „Powrocie Króla”, kiedy Aragorn wraz z Gimlim i Legolasem ruszają pewnym krokiem przeciwko całej armii oblegających Minas Tirith orków?**

Nie chodzi o to, żeby przestać czytać wszystkie te poradniki i blogi, radzące jak zapewnić dzieciom szczęśliwe dzieciństwo. Tylko, żeby nie zapomnieć, iż wiedza o tym, jak dać im szczęśliwą wieczność, leży gdzie indziej. Snuje się ona w nieprzerwanej pieśni Tradycji. Prowadzi drogami, które – jeśli przemierzone zostają sumiennie i do końca – doprowadzą nas na miejsce pojedynku. Szansy na ostateczne zwycięstwo.

Pamiętają państwo tę scenę w „Powrocie Króla”, kiedy Aragorn wraz z Gimlim i Legolasem ruszają pewnym krokiem przeciwko całej armii oblegających Minas Tirith orków? Ci ostatni od początku czują, że coś jest nie tak. Że ci trzej mają w swoich twarzach i ruchach coś, co świadczy o tym, że nie są sami. I w tym momencie zza ich pleców wyłania się Armia Nieumarłych, a więc również – siłą rzeczy - niepokonanych. Szturm zostaje odparty, miasto uratowane, a wrogowie – wybici w pień.

Maksymilian miał za sobą w Auschwitz podobną armię. Nie Nieumarłych, ale Żywych - dużo bardziej niż ja, który teraz piszę i państwo, którzy to czytacie. Duchy, które mieszkały w górach, nie mogły do końca umrzeć, bo za życia zdradziły, nie dotrzymały przysięgi. Święci i błogosławieni, wychylający się zza pleców Maksymiliana, obcuja z nami, ponieważ ze swoich zadań i obowiązków właśnie się wywiązali. Co nie znaczy, że stanowią armię mniej dla naszych wrogów przerażającą od tej ze Śródziemia. I co najważniejsze – tamta odsiecz była jednorazowa. Po wykonaniu zadania Nieumarli mogli wreszcie umrzeć. A nie ma takiego podmuchu, który dałby radę rozwiać armię Wiecznie Żywych.

Tradycja nie jest pieśnią, ale muzyką samą w sobie. Istnieje natomiast jedna, i to nawet niezbyt długa piosenka, która o tym, czym Tradycja jest, opowiada bardzo rzetelnie. Co tydzień na Anfield w Liverpoolu można usłyszeć tę wykrzychaną przez dziesiątki tysięcy gardeł, wielką pochwałę Tradycji: „You'll never walk alone”.

# CHCEMY,

*by Magazyn Kontra był nie tylko portalem opinii, ale – przede wszystkim – miejscem publicystycznego zwania o to, co najważniejsze.*

# PODEJMUJEMY WALKĘ

*o miejsce głosu prawdy w przestrzeni publicznej.  
Bez reklam, bez sponsorowanych artykułów, bez lokowania produktów.*

# TO MOŻE SIĘ UDAĆ

*tylko dzięki wsparciu Czytelników. Tylko siłą zaangażowania Darczyńców będzie mógł wybrzmieć głos sprzeciwu wobec narastającego wokół nas chaosu!*

## WESPRZYJ NAS





# PRZEŻYJ PRZYGODĘ PORZĄDKU

MAGAZYNKONTRA.PL



Sfinansowano przez Narodowy Instytut Wolności – Centrum Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego ze środków Programu Fundusz Inicjatyw Obywatelskich NOWEFIO na lata 2021-2030

WYDAWCY



Fundacja  
Edukacja  
do wartości

PARTNERZY



COLLEGIUM  
INTERMARIUM